LILIANA FABISIŃSKA

KŁOPOTLIWE OGNISKO

Bezsennik

czyli

O czym dziewczyny rozmawiają nocą

ROZDZIAŁ 1
PADLINA

Jak tu ślicznie!

- Cudownie!

- Jak w „Tajemniczym ogrodzie”!

- Te drzewa... Ja na twoim miejscu w ogóle nie chodziłabym do szkoły, tylko siedziałabym pod tym wielkim drzewem!

- Tu można byłoby napisać najpiękniejsze, najbardziej romantyczne wiersze świata. Wystarczyłoby zamknąć oczy, poddać się podmuchom wiatru... Natchnienie samo by przyszło - to oczywiście Julka, moja przyjaciółka - poetka. Najdziwniejsza i najbardziej tajemnicza osoba, jaką znam.

- Czad, słowo daję! - ten „czad” to oczywiście Zuzia, moja druga przyjaciółka. Istny wulkan energii i dobrego humoru. „Czad” to jedno z jej ulubionych słów. „Czad” i „masakra”, uwielbia tak mówić. Oczywiście, kiedy nie słyszy jej mama. Bo jej mama, nauczycielka chemii i fizyki w naszej szkole, bardzo by chciała, żeby Zuzka zachowywała się odpowiednio, czyli nie używała takich słów. Ani nawet słowa „kurczę”. Bo jest niestosowne w wypadku córki pedagoga. I Zuzka się stara, ale nie zawsze jej to wychodzi. Na przykład teraz. Zobaczyła mój ogród i oszalała z zachwytu. Julka tak samo. Uznały zgodnie, że to najpiękniejsze miejsce na ziemi. Ja zresztą też tak uważam.

- Wiecie, czego się boje najbardziej w życiu? - powiedziałam, zamykając furtkę. W końcu to moje przyjaciółki. Najlepsze, a właściwie jedyne, jakie mam. Aśka już prawie się nie liczy, od kiedy wyjechała do Niemiec. Przysyła jednego SMS - a na dwa tygodnie. W dodatku na komórkę mamy (bo swojej wciąż nie mam), czyli cenzurowanego, grzecznego... To już nie przyjaźń. A więc mam tylko Zuzię i Julkę. Znam je od trzech tygodni, a czuję się, jakby to były trzy lata. Albo i trzydzieści... A więc mogę im powiedzieć o wszystkim. Nawet o tym, o czym nie mówiłam jeszcze nigdy i nikomu. - Najbardziej na świecie boję się, że moi rodzice sprzedadzą ten dom i zamieszkamy w bloku. I już nigdy nie usiądę w ogrodzie pod orzechem. Nie wiem, jak bym wtedy żyła.

- Umarłabyś ze zgryzoty - westchnęła Julka, a mnie aż przeszedł dreszcz. Trzynastoletnia poetka! Dziewczyna używająca najdziwniejszych słów na świecie. Powinnam już się do tego przyzwyczaić, ale jakoś nie mogłam. No bo kto w dwudziestym pierwszym wieku mówi „zgryzoty”? Pewnie ze trzy osoby... Dwie panie po osiemdziesiątce i Julia

Ździebełko!

- Dlaczego mieliby go sprzedać? - zapytała Zuzia, praktyczna i trzeźwo myśląca, jak zwykle. - Nie lubią tu mieszkać?

- Bardzo lubią - odpowiedziałam, mając nadzieję, że to prawda. - Ale trochę ich na ten dom nie stać. On jest taki stary, wszystko się sypie, powinno się wyremontować dach, zrobić ocieplenie, nowe tynki... A rodzice nie mają pieniędzy. Słyszałam wiele razy, jak mówili, że już dawno by go sprzedali, gdyby nie babcia. Bo to bardziej jej dom niż ich... Po jej tacie... A właściwie po dziadku. Cudem przetrwał wojnę. Babcia traktuje go jak wielką rodzinną posiadłość, jak jakiś dwór. Mówi, że to mój posag i że nie pozwoli go sprzedać. A bez jej zgody rodzice na szczęście nie mogą nic zrobić.

- Na szczęście! - pokiwała głową Zuzia i usiadła na wiklinowym foteliku pod orzechem. - Gdybym miała taki ogród i taki dom, nigdy bym ich nie oddała.

- Domu jeszcze nie widziałaś - uśmiechnęłam się i poszłam otworzyć drzwi.

Przyszły tu na grilla, ale przecież nie będziemy go rozpalać o trzeciej po południu. Minęła połowa września, a słońce grzeje jak w środku lipca. Nie ma co siedzieć w ogrodzie, nawet w cieniu, pod orzechem. W domu jest chłodniej, w tych naszych cudownych grubych, starych murach... Na razie zostaniemy więc w domu, zjemy obiad... Babcia na pewno przygotowała już coś pysznego. A grilla zrobimy, gdy się trochę ochłodzi. I będziemy siedziały przy nim przez całą noc.

- Ale upał, zupełnie jak w lipcu - westchnęła Zuzia, zdejmując sweter. Znowu odgadła moje myśli!

- No, może jak w sierpniu - sprostowałam ją i siebie. W lipcu na pewno nie nosiłam żadnych grubych swetrów, tylko podkoszulki i krótkie spodenki! A teraz w spodenkach chyba jednak bym zmarzła. Ale faktycznie, pogoda wyjątkowo nam w to piątkowe popołudnie dopisała.

- Jak tu ślicznie! - po wejściu do domu moje przyjaciółki zaczęły znowu wzdychać i jęczeć, tak jak w ogrodzie, nie zwracając nawet uwagi na Etnę, moją suczkę, skaczącą radośnie wokół naszych nóg i wpychającą swój mokry nos w nogawki moich spodni. Do tej pory jeszcze nikt nie zignorował Etny! No, ale tym razem musiała przegrać z domem, którym tak się zachwyciły Julka i Zuzia. Było mi miło... Uwielbiam przecież mój dom. Nie zamieniłabym go na największe, najpiękniejsze, najbardziej luksusowe mieszkanie. Nigdy wżyciu! Ale, patrząc obiektywnie, jest stary, zaniedbany, meble, pracowicie przemalowywane i odnawiane przez mamę, pamiętają chyba mojego prapradziadka... Czy naprawdę ktoś, kto nie jest z tym domem związany emocjonalnie, tak jak ja, ma się czym zachwycać?

- Ten dom ma duszę - oświadczyła Julka, wpatrując się w napięciu w sufit. - On żyje, to się czuje od razu. Jest niesamowity. Powiedz prawdę, spotkałaś tu kiedyś ducha?

- Spotkałam - przytaknęłam, czując, że po plecach przechodzi mi lodowaty dreszcz. - To znaczy, wydaje mi się, że to był duch...

- Opowiadaj! - zażądała Zuzia, siadając w kuchni na krzywym krzesełku, przemalowanym przez mamę na zielono. Mama wszystko maluje na zielono, żeby było jak w ogrodzie, nawet w listopadzie.

- Opowiadaj! - głos Julki był mniej stanowczy, ale brzmiała w nim taka sama ciekawość.

Wiedziałam, że się nie wyłgam, że będę musiała opowiedzieć wszystko o pokoiku na strychu, do którego od tamtej pory boję się wchodzić... Że może nawet pójdziemy tam wszystkie trzy, już za chwilę. Jeśli mamy iść, to chyba lepiej teraz, kiedy jeszcze jest jasno?

- Dziewczynki, jak to miło, że zaszczyciłyście nasze skromne progi swoją obecnością - no tak, opowieść o duchu musi poczekać. Na pewno nie będę o nim mówić przy babci! Zresztą babcia i tak nie da mi dojść do głosu. - Ty jesteś Zuzia, prawda? Witaj, moje dziecko. Energia i optymizm biją ci z oczu, Kasia opisała cię wyjątkowo dobrze. A ty musisz być Julią, nie mylę się, prawda? Taka chudzinka, biedne dziecko... Dziś cię tu troszkę odkarmimy. Upiekłam kurczaka w świeżych ziołach, uprawiam je w ogrodzie, a zimą na parapecie.

- Ale... - Julka zbladła jeszcze bardziej, o ile to w ogóle możliwe, a mnie przebiegł dreszcz jeszcze zimniejszy niż ten, który chodził mi po plecach na wspomnienie spotkania z duchem. Zapomniałam powiedzieć babci, że Julka nie je mięsa! Pani hrabina zamierza uraczyć pieczonym kurczakiem wegetariankę!

- Babciu... - sama się w to wpakowałam, to sama muszę teraz jakoś to załatwić. Nie wrobię mojej przyjaciółki w łamanie zasad. Ani w dyskusję ideologiczną z babcią... - Babciu, Julka nie może... to znaczy nie chce... to znaczy, ona zdecydowała... nie teraz, tylko trzy lata temu... wcale nie z powodu twojego kurczaka... bo ty przecież pieczesz najlepsze kurczaki na świecie... - dlaczego tak trudno mi było powiedzieć to wprost?! Na szczęście Julka wybawiła mnie z opresji.

- Nie jadam padliny - powiedziała zupełnie niepoetycko, wprawiając zarówno mnie, jak i Zuzkę w kompletne osłupienie.

- Padliny? - zdziwiła się babcia uprzejmie. - Moja panno, ten kurczak to nie żadna padlina. Nie jesteśmy bogatą rodziną, ale nie stoczyliśmy się jeszcze tak nisko, by zbierać gdzieś na wysypisku padły drób. To porządna świeża sztuka, prosto ze sklepu.

- Najmocniej przepraszam... z całego mojego podłego serca... - Julka i babcia

najwyraźniej mówiły tym samym językiem. „Moja panno” i „podłe serce”. Tak, byłam pewna, że się polubią. Nawet jeśli ta znajomość nie zaczęła się najlepiej. - Czytam czasopisma dla wegetarian... w jednym z nich ciągle nazywają mięso padliną i tak jakoś mi się samo powiedziało... Przepraszam, to definitywnie moja wina... Ja wcale nie miałam na myśli jakości pożywienia, którym raczy pani gości. Nie mam najmniejszych wątpliwości, że są to prawdziwe frykasy. Bezsprzecznie.

„Pożywienie”, „raczenie gości”, „frykasy”... Czy kiedyś przywyknę do tego języka Julki? Może byłoby mi łatwiej, gdyby ciągle tak mówiła. Ale ona czasami odzywała się całkiem normalnie. Tak jak przed chwilą, kiedy tłumaczyła, że „tak jej się samo powiedziało”. A potem wylatywała nagle z „podłym sercem”. Przy niej naprawdę trzeba być nieustannie przygotowanym na niespodzianki!

- Przeprosiny przyjęte, moja droga - babcia wyciągnęła do Julki dłoń udekorowaną ogromnymi pierścieniami. Pamiątki rodowe, oczywiście. - Ale grzanki z żółtym serem chyba zjesz? I sałatkę? Z pomidorów, które uprawiam pod płotem osobiście, tymi starymi spracowanymi dłońmi.

Julka i Zuzia spojrzały na moją babcię zdumione. Pewnie obie wyobraziły sobie, jak w misternie upiętym koku i butach na szpilce przedziera się przez chaszcze do zagonu pomidorów. A potem zrywa je z krzaka palcami, na których błyszczą pierścionki. Sama przez moment miałam taką wizję. A przecież dobrze wiedziałam, że babcia wystroiła się tylko na ich przyjście. Bo uważa, że gości trzeba przyjmować „godnie” i „należycie”. Dopiero niedawno zrezygnowała z namawiania taty, żeby zakładał garnitur, kiedy wpadają w odwiedziny znajomi. Chyba przede wszystkim dlatego, że tata przestał się mieścić w jedyny garnitur, jaki ma. Ten, w którym brał z mamą ślub, ponad piętnaście lat temu... Babcia nie zamierzała jednak łamać swoich zasad i zachowywała się „godnie”. Nie przeszkadzało jej nawet to, że gośćmi są moje koleżanki z klasy. Trzynastolatki w dżinsach! „Choćby odwiedzały cię strusie albo przedszkolaki, i tak będę zachowywać się tak, jak nauczyli mnie rodzice”, powiedziała mi kiedyś. „Bo gość, bez względu na to, kim jest, ma czuć, że przygotowaliśmy się należycie na jego przyjście”. Babcia przyjęła więc moje koleżanki jak na hrabiankę przystało. W najlepszej sukience (nikt by się nie domyślił, że to jej najlepsza sukienka nieustannie od prawie trzynastu lat! Krawiec uszył ją na mój chrzest!), w rodowej biżuterii, z włosami upiętymi tak, jakby zajmował się nimi Franciszek, fryzjer, który czesał babcię do ślubu i którego do dziś wspomina z łezką w oku. Oczywiście uczesała się sama, ale dobrze wiedziałam, że zajęło jej to co najmniej pół godziny. W koku tkwiły przecież czterdzieści trzy szpilki. Kiedyś, kiedy byłam chora, policzyłam je z nudów... Babcia mówi z

dumą, że to szpilki szylkretowe, ale nie bardzo wiem, co to znaczy. Nie mam jednak wątpliwości, że są piękne. I bardzo stare.

- Twoja babcia to prawdziwa dama - szepnęła Julka, kiedy wyszłyśmy z kuchni. A ja zastanowiłam się, czy myślałaby tak samo, gdyby widziała babcię taką, jaką codziennie widuję ją ja: z włosami ściągniętymi niedbale gumką albo zaplecionymi w luźny, siwiejący warkocz, w tenisówkach i gumowych rękawiczkach, toczącą nieustanną walkę z chwastami. Ale z drugiej strony, kto powiedział, że damę poznaje się po pierścieniach? Chyba to, czy ktoś jest damą, a ktoś nie, wcale nie zależy od liczby szylkretowych szpilek w koku i pereł w naszyjniku... Chodzi o maniery. A maniery babcia ma nienaganne. Przynajmniej przy gościach...

Ketashi

ROZDZIAŁ 2
ODCZAROWAĆ KSIĘŻNICZKĘ

Zabierzemy jedzenie na strych - powiedziałam babci. Potem chwyciłam wielki półmisek (oczywiście rodowy) pełen malutkich grzanek i miskę sałatki i ruszyłam w stronę schodów. Kurczak został nietknięty. I ja, i Zuzia jakoś nie miałyśmy ochoty jeść mięsa w obecności Julki. Zresztą grzanki zrobione przez babcię były naprawdę pyszne. Ze świeżej bagietki, żółtego sera, pieczarek, posypane kminkiem i papryką... Kto by chciał w takiej sytuacji jeść kurczaka? A poza tym miałyśmy tylko coś przekąsić, a nie objadać się jak dzikie. Za godzinę czy dwie rozpalimy przecież grilla...

- Strych! - Julka i Zuzka rzuciły się na górę, przeskakując po dwa schodki. - Ale fajnie! Będziemy spały na strychu, dobra?

- Dobra... - zgodziłam się, niezbyt zachwycona tą wizją. Uwielbiam mój dom i strych pełen dziwacznych, mrocznych zakamarków, też. Ale wciąż pamiętam spotkanie z duchem... a raczej coś, co mogło być spotkaniem z duchem. Nie mam pewności, czy to był duch, ale to wcale nie znaczy, że mogę o tym zapomnieć i przestać się bać. Boję się, gdy tylko o tym pomyślę... i dlatego wciąż nie czuję się na górze całkiem pewnie. Zwłaszcza w nocy.

- Co za magiczne miejsce - Julka przytuliła się do ogromnego słupa podpierającego dach.

- Kurczę, ale tu fajnie! - Zuzia przejechała dłonią po surowych deskach, którymi wyłożona była ściana. Tata już dawno miał je przeszlifować, pomalować... Ale jakoś ciągle nie miał czasu. Prawdę mówiąc, nawet mnie to cieszyło. Surowe drewno, mimo że ścięto je ponad ćwierć wieku temu, przed ostatnim porządnym remontem domu, wciąż trochę pachniało lasem. Lubiłam ten zapach.

- Auuu! Drzazga weszła mi w palec! - Julka nagle przestała być zachwycona. Zaczęła podskakiwać na jednej nodze i ssać palec. - Nie wiedziałam, że te deski kłują!

- Nie wkładaj palca do ust, jeszcze połkniesz tę drzazgę - Zuzia, jak zwykle, zachowała zdrowy rozsądek. Nasza druhna zastępowa! Siła spokoju! Tym razem też stanęła na wysokości zadania. Zanim zdążyłam się ruszyć, pobiegła do mojej babci, poprosiła o plaster z opatrunkiem, igłę i spirytus salicylowy, zdezynfekowała igłę, a potem delikatnie podważyła nią drzazgę i wyjęła ją, zanim Julka zdążyła choćby pisnąć.

- Dzięki - Julka zabrała palec i odwróciła się w stronę półmiska, na którym stygły zapomniane zapiekanki.

- Czekaj, teraz trzeba jeszcze przepłukać ranę spirytusem - słowo „rana” brzmiało trochę śmiesznie w stosunku do milimetrowego śladu na skórze Julki. Ale Zuzia była całkiem poważna. Zdezynfekowała ten malutki ślad, zadrapanie właściwie, a potem zakleiła go plastrem. - Nawet najmniejszą rankę trzeba starannie opatrzyć, bez wyjątków - wyjaśniła, po czym odniosła igłę i spirytus babci. Dopiero potem usiadła ze mną i z Julka na ogromnym, leżącym na podłodze materacu i zabrała się do jedzenia.

- Metodyczna, jak zawsze! - puściłam oko do Zuzi, naśladując ton naszej wychowawczyni. Marta Mądra bardzo często powtarzała, że Zuzka jest „taka metodyczna”, że to „wspaniały umysł ścisły” i „skóra zdjęta z mamy”. A Zuzia bardzo tego nie lubiła. Chciała przecież być artystką, zajmować się fotografią... Ale w takich sytuacjach działała odruchowo. Jak stuprocentowa metodyczna córka fizyczki. W końcu przy robieniu doświadczeń, na lekcjach chemii i fizyki, trzeba działać planowo. Bez wyjątków!

Zamknęłam drzwi na strych, wiedząc, że babcia nie akceptuje plotek. Uważa, że nie przystoją damom. I pewnie ma rację. Ale my nie jesteśmy damami. Mamy po trzynaście lat i nową koleżankę w klasie. I po prostu MUSIMY o niej porozmawiać. Może nawet troszeczkę ją obgadać? Bez względu na to, jak bardzo przeczy to zasadom wyznawanym przez babcię...

- Kto przychodzi do szkoły trzy tygodnie po rozpoczęciu roku?! Nie zauważyła, że pierwszy września minął dawno temu? - zaczęła Zuzia, gdy tylko zamknęłam drzwi. - I słyszałyście, jak ona się nazywa? Emma!

- Emma Adams - uzupełniła Julka. - Mieszkała w Wielkiej Brytanii przez wiele lat, słyszałyście. Już sobie to wyobrażam... Powiedziała „w Wielkiej Brytanii”, a nie „w Anglii”. A więc może być z Walii, Szkocji, Irlandii... Albo choćby z północnej, wietrznej Anglii? Może mieszka w opuszczonym starym domu na wrzosowiskach? Jak w „Wichrowych wzgórzach”? Och, to byłoby coś,.. Znać kogoś, kim targają wielkie namiętności w starym zamczysku, które otaczają wieczne mgły...

- Ona chyba mieszka w Polsce, przynajmniej w tej chwili - starałam się ostrożnie sprowadzić poetkę na ziemię z zamglonych wichrowych wzgórz. - Przecież ona, a właściwie Marta Mądra, powiedziała wyraźnie, że Emma „mieszkała w Wielkiej Brytanii”, a nie, że „mieszka”. No i chyba nie dojeżdżałaby do naszej szkoły codziennie z jakiegoś zamczyska setki kilometrów stąd?

- Ale dlaczego się wyprowadziła? - Julka w zamyśleniu przymknęła oczy. - Może chodzi o jakiś wielki romans? Chciała uciec z domu i wyjść za mąż za jakiegoś chmurnego Szkota? Rodzice wywieźli ją do Londynu, ale to nie pomogło. Musieli przenieść ją dalej, gdzieś za morze... No i dlatego jest tutaj. W naszej szkole. Ale i tak pewnego dnia ucieknie.

Jej Szkot rzucił naukę i pracuje gdzieś teraz, dzień i noc, żeby zarobić na bilet do Polski i ją stąd porwać.

Ależ ta Julka miała wyobraźnię! Przez moment widziałam wyraźnie długowłosego chłopaka na białym koniu, który podjeżdża pod naszą szkołę, wspina się po obrośniętym bluszczem murze, wpada przez okno do klasy, w samym środku godziny wychowawczej. Marta Mądra osuwa się zemdlona na podłogę, dziewczyny piszczą i chowają się pod ławki i za szafę, a on nie zwraca uwagi kompletnie na nic, tylko sunie do ławki, w której siedzi Emma... czyli do ławki Julki... teraz już Julki i Emmy... no i bierze rudą ukochaną na ręce, całuje delikatnie, a potem wyskakuje przez okno... Nie, skakać przez okno, trzymając kogoś na rękach, to chyba przesada? A więc nie wyskakuje przez okno, tylko wybiega normalnie, przez drzwi. I po schodach, w dół... Teraz, kiedy znów są razem, nic ich już nie zatrzyma. Nawet nasza woźna Miotełka, postrach całej szkoły! Bo mają swoją miłość.

- Jedno z jej rodziców na pewno jest Polakiem - powiedziała Zuzia, trzeźwo jak zwykle, a ja momentalnie zapomniałam o swoich romantycznych wizjach. - A może nawet obydwoje pochodzą stąd? Wyjechali służbowo... na kontrakt... wielu ludzi tak jeździ. Albo nie na kontrakt, tylko pracować na czarno. Koleżanka mamy kiedyś wyjechała na całe lato, zmywała garnki w restauracji i sprzątała co rano jakieś biuro. Może rodzice Emmy też wyjechali na wakacje i zostali trochę dłużej? Trzy tygodnie?

- Chyba trzy lata - roześmiałam się. - Albo i trzydzieści! Ona mówi po polsku tak źle, jakby nigdy tu nie była. Niemożliwe, żeby wszystko zapomniała przez wakacje.

- Niemożliwe - zgodziła się Zuzia.

A Julka, wciąż zadumana, pokiwała głową. Chyba nadal rozmyślała o długowłosym Szkocie na białym koniu. Chociaż nie, konia i długie włosy wymyśliłam przecież ja, Julka nie miała z tym nic wspólnego...

- Myślicie, że się z nią zaprzyjaźnimy? - zadałam pytanie, które od rana dręczyło nas wszystkie. - Że to w ogóle możliwe?

- Marta Mądra twierdzi, że tak - powiedziała Zuzka bez przekonania. - Dołączyła ją przecież do naszej grupy. Uznała, że świetnie się składa, bo nareszcie nie będziemy poszkodowane.

- My wcale nie byłyśmy poszkodowane! - Julka poderwała się z materaca i zaczęła szybko chodzić po strychu. - Miałyśmy najlepiej z wszystkich. Miałyśmy nasze Bractwo Zet. A ona... Ona nawet nie ma nazwiska na Z! Powinna być na początku listy, a nie na końcu, z tym swoim Adams!

- Za rok będzie, ale „teraz to niemożliwe” - Zuzia zaczęła przedrzeźniać naszą

wychowawczynię. - „Nie będziemy przecież przepisywać całego dziennika z powodu jednej osoby. Poza tym wszystkie grupy już się zgrały, zaczęły pisać, wprowadziłoby to niepotrzebne zamieszanie".

No tak, te referaty... Marta Mądra już pierwszego dnia podzieliła całą klasę na czteroosobowe grupy. Tylko my, ostatnie na liście, byłyśmy we trzy. A więc, zdaniem naszej wychowawczyni, byłyśmy „poszkodowane". Ale wcale się tak nie czułyśmy! Już pierwszego dnia zaprzyjaźniłyśmy się, założyłyśmy Sekretne Siostrzane Bractwo Zet. Przez te dziewiętnaście dni... prawie trzy tygodnie... byłyśmy nierozłączne. Codziennie po lekcjach Szłyśmy do parku albo na pizzę, albo do Zuzi, która mieszka tylko kilka metrów od szkoły... Odrabiałyśmy lekcje, dyskutowałyśmy bez końca o naszym referacie. Trzeba było napisać o jakimś państwie na literę, na którą zaczynają się nasze nazwiska. Dużego wyboru nie miałyśmy. Na Ż i Ź nie ma państw, na Z raptem ze trzy, wszystkie w Afryce... A inni mieli do wyboru Włochy, Austrię, Szwajcarię, Kanadę... O ile łatwiejsze było ich życie! Ale cóż, wybrałyśmy między Zimbabwe, Zambią a Zairem. Padło na Zambię, jeden z najbiedniejszych krajów świata. I wcale nie było nam z tym źle. Mogłybyśmy pisać nawet o życiu na Marsie, byle razem. Siostrzane Bractwo Zet. A teraz jakąś pannę Adams, która ledwo mówi po polsku i wcale nie ma nazwiska na Z, siłą dołączono do naszej grupy. Najbardziej zgranej grupy w klasie. Co tam w klasie: byłyśmy najbardziej zgraną i niezwykłą grupą w całej szkole! A może i we wszystkich szkołach Polski? Albo świata? Byłyśmy przyjaciółkami. Na dobre i złe. A teraz dołączono do nas Emmę.

- To jest gwałt zadany naszej przyjaźni - powiedziała Julka, wkładając do ust ostatnią grzankę. - Już nigdy nie będzie tak samo. Bractwo przestanie istnieć.

- Ani bractwo, ani nasza przyjaźń nigdy nie przestaną istnieć - przytuliłam ją niezdarnie. - Możemy przecież spotykać się tak, jak do tej pory, po szkole...

- A praca nad referatem? - Zuzia, jak zwykle, sprowadziła nas na ziemię. - Przecież Emma ma go pisać z nami, a pisze się po lekcjach...

- Ale nie wygląda na to, by ona chciała go 2 nami pisać - powiedziałam. - Wygląda, jakby była obrażona na nas i na całą szkołę. Przecież ją zapraszałyśmy na dzisiaj, na grilla. Mogła przyjechać z nami, prosto po szkole. Albo potem, wieczorem, narysowałam jej nawet mapę... Byłyśmy otwarte, mimo że wcale nie mamy ochoty, żeby ją do nas dołączono. Ale uszanowałyśmy decyzję Marty Mądrej, zaprosiłyśmy ją... A ona co? Tylko wzruszyła ramionami i zgniotła moją mapę w kulkę. Nawet nie wymyśliła żadnego powodu, nie powiedziała, że spotkamy się następnym razem... Może ona w ogóle nie zamierza nic z nami robić?

- Będzie się izolować - oświadczyła Julka takim głosem, że aż przeszedł mnie dreszcz. Jakby była jasnowidząca! - Brytyjczycy tacy już są. Zimni, niedostępni. Mają nawet swoje powiedzenie „mój dom moją twierdzą". Pewnie Emma urządza sobie właśnie twierdzę, razem z rodzicami. Nie potrzebuje przyjaciół.

- Każdy potrzebuje przyjaciół - Zuzia zaprotestowała gwałtownie. - Ale, kurczę, ona jest naprawdę jakaś dziwna.

- Taka nabzdyczona - powiedziała Julka, znowu zmieniając się z poetki w zupełnie zwyczajną trzynastolatkę. - Jakby była na nas obrażona. Jak jakaś zaczarowana księżniczka.

- Odczarujemy ją - postanowiłam nieoczekiwanie dla samej siebie.

Przecież wcale nie potrzebowałyśmy w naszym Bractwie Zet czwartej dziewczyny. To nie brydż, poradzimy sobie we trzy! Ale mimo wszystko, jakoś mnie denerwowało, że ona tak się boczy. Jakbyśmy jej zrobiły coś złego. Że jest niedostępna i wyniosła. Że nie docenia tego, jaką dostała szansę od losu. Szansę na przyjaźń z nami. No, może nie przyjaźń... Przyjaźnimy się we trzy i to nam wystarczy... Ale na znajomość, na rozmowy, na wspólne jedzenie pizzy i pisanie o Zambii... Mogłoby być naprawdę fajnie, gdyby Emma nie była nabzdyczoną zaczarowaną księżniczką.

- Odczarujemy ją! - powiedziały chórem Julka i Zuzka. Nie z takimi problemami sobie radziłyśmy. Złapałyśmy przestępców, zoperowałyśmy psa, wygrałyśmy z burzą. Co to dla nas, jedna nabzdyczoną Angielka?

ROZDZIAŁ 3
ZIELONE ORZECHY

Ale ciuchy to ona ma świetne, trzeba przyznać - temat Emmy powracał uparcie w naszej rozmowie.

Miałyśmy pisać referat, termin prezentacji przed całą klasą zbliżał sie wielkimi krokami... Dwie grupy już się zaprezentowały i oczywiście wypadły znakomicie. Pierwsza miała przezrocza z Austrii, druga skupiła się na Andersenie i jego baśniach. W końcu był Duńczykiem. Zrobili całe przedstawienie, z dzikimi łabędziami, Królową Śniegu i zmarzniętą dziewczynką z zapałkami. I wszystkie te bajkowe postaci opowiadały o historii Danii. Następna grupa będzie mówić o Francji. Już sobie wyobrażałam sery, które przyniosą i którymi będą częstować całą klasę. Reprodukcje eksponatów z Luwru, którymi nas zarzucą. A może nawet kankana, którego Monika Frankowska odtańczy na środku klasy... Ma najlepsze nogi ze wszystkich dziewczyn i chodziła przez trzy lata do szkoły baletowej. Dlaczego nie miałaby odegrać jakiejś scenki z kabaretu Moulin Rouge? A my co? Odegramy umierających z głodu na ulicach Zambii? O ile tam w ogóle są jakieś ulice...

- A może, z uwagi na nazwisko Emmy, pozwolą nam wybrać między literą Z i A? - powiedziała z nadzieją Zuzia.

I natychmiast przestała się interesować referatem. - Widziałyście kiedyś takie spodnie jak te, w których dziś przyszła do szkoły? No po prostu czad!

- Definitywnie były niezwykłe - przyznała bez zachwytu Julka. - Widać po niej pieniądze. Mnóstwo pieniędzy...

W jej głosie nie było słychać zazdrości. Przeciwnie: wydawała się dumna z tego, że jest biedna, że na głowie ma chusteczkę, śliczną, ale jednak chusteczkę, trochę jak sierotka Marysia, a na ramieniu sznurkową torebkę, którą pewnie zrobiła jej mama albo babcia. A może nawet wydziergała ją sama? W końcu raz już nas zaskoczyła, robiąc z marnych, bezsensownych resztek z lodówki Zuzi najlepszą zapiekankę świata. Dlaczego nie miałaby zrobić własnoręcznie torby na zeszyty? No i butów. Jej buty cały czas nie dawały mi spokoju. Widziałam przez te dziewiętnaście dni, które minęły od rozpoczęcia roku, chyba trzy pary butów Julki. Sandały, w których chodziła uparcie, mimo że zaczęła się jesień, wielkie buciory, w których przyszła, gdy padał deszcz, i buty wyjściowe, w których była w teatrze (Marta Mądra orzekła, że całą klasą będziemy co miesiąc chodzić do teatru. Obecność obowiązkowa!)... I wszystkie wyglądały, jakby sama robiła je wieczorami na kuchennym

stole. Choć Zuzia twierdzi, że to niemożliwe, bo nie zdołałaby wyciąć podeszwy i miałaby bąble na palcach. Ale kto wie, może szyła je dawno temu i bąble znikły...

- Ona się izoluje, bo ma ranę w sercu - Julka powróciła do swojego ulubionego języka. - Przeżyła jakiś dramat i dlatego nie chce rozmawiać, nie chce nam zaufać. To na pewno była wielka miłość.

- Przecież mówiłaś, że Anglicy są zimni jak lód - przypomniałam Julce. - Nie mogą więc chyba przeżywać wielkich namiętności?

- A może ona po prostu się wstydzi, że tak źle mówi po polsku? - podsunęła Zuzia. Pewnie jej wyjaśnienie było znacznie bardziej prawdopodobne niż ten romans stulecia, który wymyśliła Julka.

- I co? Będzie się tak wstydzić do końca życia? - wzruszyłam ramionami. - Przecież jedyne rozwiązanie to mówić, jak najwięcej. Powinna tu przyjść, rozmawiać z nami... Przecież byśmy się z niej nie śmiały, prawda?

Zuzka i Julka nie odpowiedziały mi ani słowem. Nie śmiałybyśmy się jej w twarz, na pewno. Ale po jej wyjściu? Czy powstrzymałybyśmy się od przedrzeźniania jej, nabijania się z jej błędów? W końcu nie jest naszą przyjaciółką, nie należy do Sekretnego Siostrzanego Bractwa Zet. Może sobie być z nami w grupie, ale my zawsze będziemy się przyjaźnić, a ona...

- Myślicie, że ona by do nas pasowała? - Julka odgadła moje myśli. Który to już raz? Wszystkie trzy rozumiałyśmy się w pół zdania. Po co nam jeszcze Emma? W dodatku nabzdyczona.

- Ona nie chce do nas pasować, nawet gdybyśmy my się starały, nic by z tego nie wyszło, bo ona nas nie chce i dała nam to wyraźnie do zrozumienia. Nie interesuje jej nasz referat ani nasz grill - Zuzia wspięła się na palce i wyjrzała przez okno, nie takie normalne, tylko zamontowane w dachu. Jak to nazywała mama? Okno dachowe? A może połaciowe? Bardzo lubiłam leżeć na materacu pod tym oknem i patrzeć na obłoki przemykające po niebie.

- Fajnie się musi tu leżeć w nocy i patrzeć w gwiazdy - Julka znów przejrzała moje myśli. Tyle że ja myślałam o obłoczkach w środku dnia. Bo po zmroku naprawdę boję się wchodzić na strych. Próbowałam się przełamać, już wiele razy, ale wszędzie coś szura, szeleści, skrzypi... Zdecydowanie wolę spać w swoim pokoju na dole!

- Chodźmy do ogrodu - powiedziała Zuzia, wciąż wychylając się przez okno. - Posiedzimy trochę na słońcu, może to ostatni ciepły dzień w tym roku?

- Babie lato - westchnęła Julka. - Najpiękniejsza pora roku. Mogłoby trwać przez dwanaście miesięcy. Nigdy nie pisze się wierszy tak dobrze jak wtedy, gdy pajęcze nitki

wplątują się we włosy, a czerwone liście szeleszczą pod nogami. To czas, gdy poetom rosną skrzydła.

- No tak... To może faktycznie chodźmy już do ogrodu? - westchnęłam i otworzyłam drzwi. No bo co można odpowiedzieć na takie przemówienie? Mimochodem zerknęłam na plecy Julki. Na szczęście pod jej długimi, jasnymi włosami, splecionymi niedbale w warkocze, nie zauważyłam żadnych podejrzanych wypukłości. Nie wyrastały jej skrzydła. Jeszcze nie. Odetchnęłam z ulgą. Wolałam, żeby chodziła, zamiast fruwać pod sufitem. Pewnie powbijałyby jej się w czoło drzazgi z naszych nieheblowanych desek...

- Ale niesamowicie!

- Ale śliczne kwiaty!

- Jaka miękka trawa! - moje przyjaciółki znów zaczęły z zachwytem rozglądać się po ogrodzie.

Nie udawałam, że nie jest mi miło. Chyba jeszcze nikt nie zachwycał się tym miejscem tak, jak one. Moim cudownym miejscem. Magicznym miejscem, jak to nazwała Julka.

- A te drzewa... Kurczę, chyba nigdy nie widziałam takich wielkich drzew. To znaczy w lesie widziałam, ale nie u kogoś w domu.

- One nie rosną w domu, tylko w ogrodzie - przypomniałam Zuzce cicho.

- No to w ogrodzie - chyba nie widziała wyraźnej różnicy. - Chodzi o to, że rosną u kogoś, a nie w lesie albo w parku. Takie gigantyczne, z wielkimi grubymi gałęziami.

Julka nic nie mówiła, tylko tuliła się do starego orzecha.

- To drzewo ma tyle energii - szepnęła, bezskutecznie próbując objąć jego gruby pień.

- To najstarsze drzewo w naszym ogrodzie. Posadził je mój pradziadek w dniu swojego ślubu - powiedziałam. - Chciał, żeby przypominało ludziom o miłości, jego i prababci, kiedy ich już nie będzie. Mama zawsze nazywa ten orzech Wojtusiem, na cześć pradziadka. A babcia nawet kiedyś wysłała jego zdjęcie, to znaczy orzecha, nie pradziadka, do gazety... Na jakiś konkurs dendrologiczny.

- Jaki? - zapytały równocześnie Julka i Zuzka.

- Dendrologia to nauka o drzewach - uśmiechnęłam się, zadowolona, że znam jakieś słowo, którego nigdy nie słyszały. Zwłaszcza Julka... ona przecież zna najdziwniejsze słowa świata! - Uznano go za niebywały okaz, za jeden z najstarszych orzechów w naszej okolicy. No i babcia dostała w nagrodę piękną książkę o iglakach i nasiona jakichś kwiatów, i dyplom...

- Ale dlaczego na orzechu rosną takie dziwne owoce? Co to jest? Zielone, niedojrzałe

śliwki? We wrześniu? - Julka, zdumiona, podniosła rękę i pogłaskała mechatą zieloną skórkę.

- Przecież to orzechy! - roześmiałam się. A Julka i Zuzia popatrzyły na mnie jak na ufoludka.

- Orzechy to ja widziałam i jadłam wiele razy - popukała się w czoło Zuzka, jak to ona, kciukiem, nie palcem wskazującym. - Nikt mi nie wmówi, że wyglądają jak śliwki. Mają brązowe twarde łupiny i trzeba je rozłupywać dziadkiem do orzechów. Wiedzą to nawet przedszkolaki.

- Te łupiny siedzą pod zielonymi skórkami - pokazałam palcem na jedną ze „śliwek" leżącą na trawie, wśród pomarańczowych liści.

Julka popatrzyła z niedowierzaniem, a potem szybko się schyliła, żeby podnieść zielony owoc i przekonać się, co ma w środku.

- Nie dotykaj! - krzyknęłam, może trochę głośniej, niż zamierzałam. - Wiesz, jakie byś miała ręce?! Całe czarne! Nie domyłabyś ich całymi tygodniami. Kiedyś, gdy byłam jeszcze bardzo mała, chyba w pierwszej klasie, podniosłam orzech z ziemi i wyjęłam z tej zielonej skórki. A potem płakałam i nie chciałam iść do szkoły, bo miałam ręce w kolorze...

- W kolorze kupy - dokończyła, stanowczo niezbyt elegancko, babcia, która nie wiadomo skąd wzięła się nagle za moimi plecami, ze swoją puszystą kotką Lawą w ramionach. - Kasia ma rację, przy świeżych orzechach pracuje się zawsze w rękawiczkach. Najgorszych, jakie się ma, bo potem są do wyrzucenia. Plam z soku z orzecha nie da się usunąć. Zniszczyłam już w tym roku trzy pary.

- Już? - okrągłe ciemne oczy Zuzi zrobiły się wielkie jak spodki. - Przecież te orzechy jeszcze są młode, prawda? Wciąż wiszą na drzewie, spadło tylko kilka.

- Będziemy je zbierać za dwa, może trzy tygodnie - uśmiechnęła się babcia. - Ale ja zaczynam pracę z orzechami wczesnym latem, kiedy są bardzo, bardzo małe i całkiem miękkie...

I tu babcia zaczęła opowiadać o swoim rytuale: robieniu nalewki. Co roku przygotowywała kilka butelek. Małe, drobno posiekane orzechy, zalane spirytusem. Strasznie to gorzkie i niedobre. Ale leczy nawet najokropniejsze bóle brzucha i zatrucia. Zawsze pomaga, dosłownie w pięć minut. Skuteczność gwarantowana, jak w reklamie. Babcia wiele razy uratowała mi życie tą orzechówką.

- Zresztą to działa nie tylko na ludzi. Moja córka, mama Kasi, postawiła tą nalewką na nogi ogromnego bernardyna, któremu dwaj inni weterynarze nie dawali żadnych szans na wyleczenie - mówiła babcia. - A kiedyś podała odrobinkę papudze, która zatruła się, skubiąc filodendron, stojący koło jej klatki. Nie byliśmy pewni, jak ptak będzie zachowywał się po

wypiciu alkoholu, ale Ania, czyli moja córka, zaryzykowała, no i miała rację. Papuga od razu poczuła się lepiej. Tyle że przez dwa dni potem spadała z patyka na dno klatki. Pijana w sztok!

Zuzia i Julka tarzały się ze śmiechu. Nic dziwnego, wizja papugi, która upiła się podczas wizyty u weterynarza, bawiła każdego, kto słyszał tę historię po raz pierwszy.

- Babciu, będziemy teraz rozpalać grilla - powiedziałam, chcąc dać jej do zrozumienia, że nie zamierzamy spędzić reszty popołudnia na rozmowach z hrabiną. Babcia, na szczęście, zrozumiała, co mam na myśli.

- Poradzicie sobie z tym grillem same? - zapytała tylko. A gdy pokiwałyśmy energicznie głowami, pożegnała się i odeszła w stronę domu. - Zamknijcie furtkę, żeby nikt nie wszedł - zawołała jeszcze. - Bo ja idę na partyjkę remika do pani Mieci. Nie mam pojęcia, o której wrócę.

- No jasne! Przecież jest piątek - stuknęłam się w czoło. Jak mogłam zapomnieć?! W piątki babcia przecież zawsze gra do rana w karty ze swoimi znajomymi. Albo prawie do rana. Ciekawe, czy dziś uda jej się wrócić wcześniej? W końcu obiecała mamie... Bo mama wsiadła do samochodu z tatą, który specjalnie wziął dzień wolny, i pojechali w Bieszczady. Podobno stado bocianów, zamiast odlecieć na południe, zabrało się do poprawiania gniazd i znoszenia jajek. Po raz drugi w tym roku! W połowie września! Winna była pogoda, upalna i sucha... Pewnie ptaki uznały, że zaczyna się drugie lato, zaraz po pierwszym. Koleżanka mamy, pracująca w jakiejś stajni nad Soliną, zadzwoniła błagać o pomoc. A mama, doktor Dolittle dwudziestego pierwszego wieku, nigdy nie odmawia potrzebującym. Przez trzy noce czytała wszystko, co znalazła na temat bocianów, a potem zabrała kalosze, składaną drabinę, tatę i pojechała przekonywać ptaki, że jednak bez względu na to, co pokazuje termometr, naprawdę zaczyna się jesień.

ROZDZIAŁ 4
DO LOCHU, PANIE FUNKCJONARIUSZU!

Widziałyście kiedyś, jak to się robi? - zapytała Zuzia żałosnym, cichutkim głosikiem. Zupełnie jakby nagle uleciała z niej cała energia dzielnej druhny zastępowej. No dobrze, może to wcale nie było nagle.

Spojrzałam na zegarek: od siedemdziesięciu siedmiu minut usiłowałyśmy rozpalić grilla. I nic! Węgielki na blaszanej tacce wciąż były tak samo zimne i błyszczące jak wtedy, gdy zaczynałyśmy. Tylko ja prezentowałam się znacznie gorzej niż na początku. Bo rozdarłam sobie moje ukochane dżinsy o podstawę grilla i musiałam się przebrać. W byle co, żeby nie ryzykować następnych strat. Wybór padł na stare spodnie babci, w których pracuje w ogrodzie. Były trochę za duże, ale związałam je w pasie starym krawatem taty... Tym, na którym prowadzałam Etnę, kiedy zgubiłam smycz. Ani krawata, ani zniszczonych spodni nikomu nie będzie żal, jeśli padnie na nie jakaś iskra albo znów się o coś zaczepię. A moje śliczne, prawie nowe dżinsy... Babcia na pewno jakoś je zszyje, gdy tylko wróci z remika. Na pewno, jest przecież mistrzynią cerowania i łatania!

- Nie mam już siły - Julka opadła na wiklinowe krzesełko w cieniu rozłożystego orzecha i uśmiechnęła się słabo. - Milutki ten Wojtuś, można by spędzić pod nim cały dzień, czytając i pisząc. Najcudowniejsze miejsce świata. Szkoda tylko, że nie możemy pod nim zjeść kolacji. Byłoby uroczo...

- Pewnie, że uroczo - powiedziałam, z trudem łapiąc oddech.

Od pół godziny dmuchałam w węgielki jak szalona. Pamiętałam, że kiedyś tata tak właśnie dmuchnął, z całej siły, i wtedy spomiędzy węgielków wystrzeliły pierwsze ogniki. No, ale ja nie byłam tatą. Miałam mniejsze płuca i węgielki po prostu nie zamierzały się przejmować moim dmuchaniem.

- Dobrze, że zjadłyśmy chociaż grzanki i sałatkę twojej babci - Zuzia chyba doszła już do siebie i znów była praktyczna i opanowana. I, jak zwykle, myślała nieustannie o jedzeniu. - Trochę już mi burczy w brzuchu... ale bez grzanek na pewno burczałoby jeszcze bardziej.

W cieniu, oparte o pień starego orzecha, leżały nasze zapasy. Kiełbaski, dla mnie i dla Zuzki. Kurczaka przy Julce nie jadłyśmy, ale kiełbasek z grilla nie zamierzałyśmy sobie darować. Na samą myśl o gorącej, przypieczonej skórce mój żołądek ścisną! się gwałtownie. Tym razem Zuzia nie była osamotniona w swoim wilczym apetycie... Pod drzewem leżały też malutkie cukinie, w sam raz do owinięcia w folię aluminiową i upieczenia. Ziemniaki,

papryka, pomidory, cebulki, pieczarki... No i banany. Zuzia powiedziała, że nie ma na świecie lepszego deseru niż banany z grilla. Ach, czułam prawie ich smak, chociaż nigdy w życiu nie jadłam pieczonych bananów. Ale przeczuwałam, że muszą być słodkie, pachnące, miękkie... Rzuciłam okiem na koszyk wypełniony sosami. Gęsty sos tatarski do pieczonych ziemniaków. Ketchup do kiełbasek. Pikantny sos chiński, gdyby ktoś miał ochotę przerobić swoją pieczarkę albo paprykę na egzotyczną przystawkę. I miód do bananów, na deser.

- Miało być tak pięknie... - westchnęłam, biorąc jeszcze jeden głęboki wdech i dmuchając w sam środek węgielków. - Co my robimy nie tak? Mamy węgiel, zapałki, zniszczyłyśmy już chyba z dziesięć gazet, podpalając je i wrzucając między węgielki... I co? Dlaczego to nie działa?

- Nie mam pojęcia. Nie mam domu z ogrodem i nigdy nie rozpalałam grilla - powiedziała Zuzia, zapadając się w drugie wiklinowe krzesełko, tuż obok Julki. - Tylko raz jadłam pieczone banany, na wakacjach na Mazurach. Ale kiedy przyszłam, grill był już rozpalony. Nie widziałam, jak to się robi.

- Ja też nigdy nie rozpalałam grilla i nie widziałam, jak to się robi - odezwała się Julka, jak echo Zuzi.

No jasne, tylko ja miałam grilla i mogłam z niego korzystać nawet codziennie. Mogłam... ale nie korzystałam. Bo babcię po mięsie z grilla boli wątroba, a Etna, gdy tylko go rozpalamy, ucieka w najdalszy kąt domu i usiłuje zasłonić nos łapami. Nie znosi tego zapachu i gryzącego w oczy dymu!

- Może rozpalimy ognisko? - zaproponowałam w przypływie geniuszu. - To chyba powinno być łatwiejsze?

- Ognisko paliłam na Mazurach wiele razy! - pisnęła radośnie Zuzia. - Musimy tylko nazbierać mnóstwo drewna. Szybko, zanim się ściemni. I znaleźć kilka długich patyków, żeby na nich piec kiełbaski.

- Ale cukini to się chyba na patyku nie da upiec? - powiedziałam, patrząc niepewnie na Julkę. - Ani papryki? Ani banana?

- Poradzimy sobie - Zuzia nie traciła optymizmu. - Jak już będziemy miały ogień, to wszystko da się zrobić. Wymyślimy jakiś system... Będziemy zawieszać na patykach woreczki z folii aluminiowej albo upieczemy warzywa w popiele razem z ziemniakami.

- Ja bardzo lubię pieczony chleb - szepnęła Julka, chyba zawstydzona, że się przez nią martwimy. - Można go nabić na patyk i upiec jak kiełbaskę. A potem posmarować masłem, jeszcze gorący i posypać solą... Mniam!

No tak, naszej chudziutkiej poetce nie trzeba wiele. Wystarczy kromka chleba i tomik

wierszy Gałczyńskiego albo Pośwatowskiej. Ale my z Zuzką nie zamierzałyśmy poprzestać na chlebie.

- Potrzebujemy mnóstwo gałęzi, będziemy piekły ziemniaki całą noc! - Zuzia zaczęła ciągnąć w stronę tarasu wielki konar, który w czasie burzy odłamał się od jabłoni sąsiadów i spadł na nasz trawnik. - Gdzie my znajdziemy tyle drewna?

- Może tam, za garażem - pokazałam jej palcem ogromną stertę równo pociętych gałęzi. - Wiosną tata przycinał wszystkie drzewa i ściął czereśnię, która uschła ze dwa lata temu. Wystarczy tego na dziesięć ognisk, nie tylko na jedno. Co prawda to drewno miało być na zimę do kominka, ale rodzice chyba nie będą źli, jak trochę zabierzemy?

- Macie kominek? - Zuzia już była gotowa pobiec w stronę domu. - Kurczę, ale czad! Uwielbiam kominki!

- To nie jest taki prawdziwy kominek - powiedziałam, przypominając sobie kominki z filmów i z gazet.

Te wszystkie eleganckie paleniska, odgrodzone od mieszkańców domu szklanymi drzwiami, obłożone marmurem albo żółtymi cegiełkami... Nasz kominek wcale tak nie wyglądał. Zrobił go dziadek, własnoręcznie. Był po prostu nierówno wymurowanym, otynkowanym i pomalowanym na biało paleniskiem, ukrytym za kuchennym stołem. I Julka, i Zuzia były w mojej kuchni, ale w ogóle go nie zauważyły. A może zauważyły, ale uznały, że to nie jest prawdziwy kominek? Szkoda, że nie były u nas zimą!

- Zimą to dopiero musi być cudownie! - westchnęła Julka, znowu odgadując moje myśli. - Na przykład wieczorem, gdy pada śnieg, szron rysuje swoje gwiazdki i listki na oknach...

- Na naszych starych, wypaczonych oknach - uzupełniłam uczciwie. - Oknach, spod których wieje lodowaty wiatr. Ale faktycznie, nie ma wtedy wspanialszego miejsca w całym domu niż kuchnia.

Zamilkłam, bo nie umiałam o tym opowiedzieć, nie tak, jak bym chciała. Julka by umiała, pięknie i poetycko... Ale ona nigdy nie widziała, jak siadamy we czwórkę przy kominku. Iskierki strzelają prosto w nos Lawy, która zgodnie z imieniem układa się tam, gdzie najcieplej... Tata zakłada swoje śmieszne skarpety z pomponami, babcia wcale nie wygląda jak hrabianka, otulając się w długi, kraciasty szlafrok. I wszyscy siedzimy, czasami nawet do północy, i gramy w kalambury. W takich chwilach nie zamieniłabym swojego krzywo murowanego, malutkiego kominka, ukrytego za stołem, na żadne marmurowe cudo z szybą! Tata twierdzi, że dzięki takiej szybie kominek jest „ekonomiczniejszy", to znaczy, że mniej ciepła ucieka, a więcej ogrzewa dom... Ale ja chcę, żeby ono uciekało. Na zmarznięte

dłonie i stopy babci, na włosy mamy, całkiem rude w blasku żółtych płomieni, na moje oczy, zmrużone od wpatrywania się w sam środek kominka, na zdziwiony nos Lawy, która usiłuje gonić uciekające iskierki... Bo ogień jest przecież nie tylko po to, żeby grzać, ale i po to, żeby cieszyć. I to jest czasami o wiele ważniejsze niż ekonomiczność kominka.

- Słyszę straż pożarną - Zuzia całkiem zapomniała o kominku, zajęta ciągnięciem przez trawnik kolejnego wielkiego kawałka drewna. - Pewnie ktoś też rozpalał grilla i udało mu się to aż za dobrze. Podpalił nie tylko węgiel, ale cały dom.

Przejmujący dźwięk syreny był coraz bliżej. W dodatku z drugiej strony dobiegało coraz głośniejsze wycie radiowozu. Wspięłam się na palce i rozejrzałam dookoła.

- Nie widzę żadnego pożaru - powiedziałam, wzruszając ramionami. - Pewnie jadą gdzieś dalej...

Czerwony strażacki samochód z trudem przeciskał się naszą wąską uliczką Cisową. Po co się tu pcha? Przecież to droga bez wylotu. Raptem cztery domy na krzyż. Jedzie na sygnale, a przecież nic się nie dzieje. Żadnych krzyków, płomieni...

Samochód zaparkował z piskiem opon pod naszą bramą i oczywiście oślepił nas skutecznie tumanami kurzu, które wzbiły się spod kół. Czyżby nie zauważył, że naprawdę nie ma tu żadnego pożaru?

- Musieli panowie pomylić adres - krzyknęłam do wybiegającego z szoferki potężnego strażaka. - Tu jest Cisowa, a Brzozowa to ta następna, za sklepem. Ludzie często je mylą...

- Cisowa siedem? - zapytał mężczyzna w kombinezonie, spoglądając na kartkę. - Mamy tu wezwanie.

- Ale... - nie zdążyłam go zapewnić, że u nas nic się nie pali, kiedy pod bramą zahamował radiowóz. Znów z piskiem opon i znów wzbijając tumany kurzu na naszej piaszczystej drodze, która od dwudziestu lat czeka w urzędzie gminy na przydział asfaltu.

- Cisowa siedem? - zapytał młody blondyn w odprasowanym, ciemnym mundurze. - Mamy wezwanie. Sąsiedzi skarżą się, że ktoś zakłóca tutaj spokój.

- Zakłóca spokój? - a więc to nie pomyłka! Ktoś naprawdę wezwał policję i straż pożarną do mojego domu. Ale czemu? - Tu nic się nie dzieje, proszę wejść, popatrzeć...

Policjant, nieco zdezorientowany, skorzystał z zaproszenia. Przy furtce zderzył się ze strażakiem, który właśnie wybiegał z ogrodu, kręcąc głową.

- Ktoś nas zrobił w balona - wycedził przez zęby, bardzo niezadowolony. - I ten ktoś nam za to zapłaci. No, przyznaj się mała, to ty nas wezwałaś? Zachciało ci się atrakcji? Wiesz, ile kosztuje taki fałszywy alarm? Twoi rodzice nie będą zachwyceni, że zabawiasz się telefonami do straży pożarnej.

- My panów wcale nie wzywałyśmy - Zuzia, dumnie wyprężona, stanęła przed potężnym strażakiem. Jej ciemna, krótka czuprynka nie sięgała mu nawet do piersi. Ale Zuzka wcale się tym nie przejmowała. - Mogą panowie sprawdzić billingi. Żadna z nas nie dzwoniła ani po policję, ani po straż pożarną.

- Billingi? - strażak po prostu musiał się roześmiać. - Teraz już nawet przedszkolaki znają to słowo...

- Nie jesteśmy przedszkolakami, lecz gimnazjalistkami - Julka stanęła dzielnie koło Zuzi. - Proszę nas aresztować, panie funkcjonariuszu. Wtrącić do lochu. Prawda i sprawiedliwość są po naszej stronie, wyjdziemy z tego lochu z podniesioną przyłbicą, a pan będzie nosił w sercu hańbę do końca życia.

Tym razem ani policjant ani strażak nie powiedzieli ani słowa. Zatkało ich całkowicie. Hańba, lochy, prawda i sprawiedliwość, podniesiona przyłbica... Julka potrafi szokować! Zwłaszcza osoby nieprzygotowane.

- To ja po panów dzwoniłam - powiedziała nagle starsza, siwa jak gołąb kobieta, otulona bordowym szalem. Nawet nie zauważyłyśmy, kiedy podeszła do naszej furtki! - Mieszkam w tym brązowym domu i doskonale widzę z balkonu na piętrze, co się tu wyrabia. Te dziewczyny chcą spalić wszystkich sąsiadów!

- Spalić? - roześmiała się Zuzka. - Przecież my nawet głupiego grilla nie potrafimy rozpalić. Bardzo się starałyśmy, próbowałyśmy chyba przez dwie godziny i nic...

- Pani nie mieszka w brązowym domku - uświadomiłam sobie nagle. - Tam mieszkają państwo Bartosiakowie, ja ich dobrze znam. A teraz ich nie ma, wyjechali na Kretę, znaleźli jakąś wspaniałą posezonową ofertę. Byli u nas przedwczoraj się pożegnać. Wracają za dwa tygodnie.

- Jestem ich kuzynką, opiekuję się domem, nie mieszkam tu na stałe, tylko przychodzę podlewać kwiatki - powiedziała kobieta lodowatym głosem. - Ale to chyba nie ma znaczenia, nie muszę być tu zameldowana, żeby zgłosić policji, co się tu dzieje. Imprezy, głośna muzyka, narkotyki... Ta dzisiejsza młodzież! Stroją się, włosy farbują na dzikie kolory, do szkoły chodzą jak na bal przebierańców. Za moich czasów wszyscy chodzili do szkoły w mundurkach albo fartuchach, mieli szkolne czapki z daszkiem, a dziewczęta berety. A teraz co, nawet tarcz na rękawach nie mają! Szkoły to rewia mody, ubrania nie muszą być wygodne i praktyczne, tylko markowe! Widziałam w telewizji, jak dziewczyny, takie jak te tutaj, mówiły, że liczy się tylko marka. Nawet buty teraz noszą takie, że zabić się w nich można. Na wielkich koturnach, jak w jakimś greckim teatrze!

Popatrzyłyśmy na siebie zdumione. Co ta kobieta opowiada?! Nie grała u nas muzyka,

nie było żadnej imprezy... Żadna z nas nie miała markowych ciuchów, farbowanych włosów ani butów na koturnie... No, ale tarcz i beretów też nie miałyśmy, to fakt...

- Narkotyki? - policjant zignorował cały fragment o ubraniach i fryzurach i skupił się na tym, co mogło się wiązać z przestępstwem. Jego ton stał się nagle bardzo poważny. - Narkotyki w rękach nieletnich... Tak, to bardzo ciężki zarzut. Czy jest pani pewna?

- Mam lornetkę, widziałam bardzo dokładnie, co się tu dzieje. Jestem absolutnie pewna każdego swojego słowa - nie mogłam uwierzyć w to, co mówi ta kobieta. To było jak jakiś film!

- W takim razie muszę sprawdzić to zgłoszenie bardzo uważnie. Na początek pokażcie, co macie w kieszeniach. Wszystkie trzy...

Ketashi

ROZDZIAŁ 5
STRACHAJŁO

Bardzo was przepraszam - powiedział policjant, wyraźnie speszony. - Nic nie znalazłem. Przepraszam, możecie złożyć na mnie skargę... Ale to był mój obowiązek. Nasz obowiązek, czyli policji...

- Nie będziemy składać żadnej skargi - uśmiechnęłam się wspaniałomyślnie. - To po prostu nieporozumienie...

- To nie jest żadne nieporozumienie! - mała starsza pani, otulona szalem jeszcze szczelniej niż przedtem, wciąż tkwiła przy naszej furtce, a jej głos był jeszcze bardziej lodowaty niż poprzednio. - Te małe narkomanki spaliły dowody w ognisku, kiedy zobaczyły, że panowie jadą. Z daleka było słychać syreny, miały mnóstwo czasu.

- One nawet nie zdążyły rozpalić ogniska - strażak był wyraźnie po naszej stronie. Chyba nie musiał siedzieć tu tak długo, zobaczył, że nic się nie pali i mógł spokojnie odjechać. Ale on został. I bronił nas, jak mógł, przez cały czas.

- Grilla też nie rozpaliły - teraz i policjant był przekonany, że nie jesteśmy małymi, sprytnymi ćpunkami, które ukryły w piwnicy pięć kilo marihuany. - Pani coś się wydawało.

- Widziałam wyraźnie wielki ogień. Paliły jakieś papiery. Pewnie kompromitujące dokumenty - starsza pani nie mogła się zdecydować, czy jesteśmy narkomankami, podpalaczkami, czy popełniamy przestępstwo gospodarcze. Swoją drogą, ciekawe, dlaczego w ogóle się upierała, że robimy coś złego? Skąd jej to przyszło do głowy?

- Próbowałyśmy rozpalić grilla tymi gazetami - wyjaśniła Zuzka. - Nie miałyśmy pomysłu, jak sprawić, żeby te węgielki chociaż troszkę się zajęły.

- Biały proszek! - przypomniała sobie starsza pani. - Wsypały do tego węgla biały proszek, dobrze widziałam. To na pewno heroina! Albo amfetamina! Albo inne świństwo! Niech pan wydłubie stamtąd jakiś węgielek i zabierze do laboratorium. Badania na pewno potwierdzą, że mam rację. To narkotyk!

- To sól - wyjaśniła Zuzka spokojnie. - To była zwykła sól, moja mama kiedyś robiła z klasą takie doświadczenie, opowiadała mi o nim. Wsypywali do ognia różne rzeczy. Sól, cukier, sodę oczyszczoną, wlewali alkohol, terpentynę, miód... Najróżniejsze dziwactwa. Za którymś razem buchnął wielki płomień. Pamiętam, bo mama wróciła do domu z osmoloną grzywką. Jej uczennica, prymuską, wsypała tego czegoś trochę więcej, niż mama kazała. Zamiast łyżeczki cały woreczek. I mama straciła pasemka... Przypomniałam sobie o tym, jak

rozpalałyśmy grilla i poprosiłam Żabę o solniczkę. Ale jakoś nie wyszło. Ta substancja w eksperymencie mamy chyba jednak nie była solą. Pamiętam dokładnie, że spryskiwali ogień perfumami i wrzucali plastik, żeby płomienie zmieniły kolor. Ale ja nie chciałam zmieniać koloru, tylko podpalić węgiel. A co mamie pomogło w podpalaniu, nie pamiętam. Wiem tylko, że nie sól. Bo ona nie działa, prawda, Żaba?

- Żaba - syknęła siwa kobieta. - Słyszał pan? Żaba! Mają pseudonimy, jak w prawdziwym gangu.

- Albo jak w szkole... - jęknął policjant, zmęczony tą dyskusją. I zapytał: - A na panią w szkole jak mówili? Na pewno jakoś mówili. Na każdego mówią. Na mnie mówili Gucio, bo nosiłem koszulkę w żółto - brązowe paski. I byłem okrąglutki. Zupełnie jak Gucio, ten truteń z „Pszczółki Mai".

- A na mnie mówili Królik, od nazwiska - uśmiechnął się strażak.

- A na moją mamę Beksa, bo zawsze płakała, gdy ją brali do tablicy - przypomniała sobie Zuzia. - Strasznie się denerwowała, nogi jej się trzęsły... I tak się na siebie wkurzyła, za to banie, że postanowiła zostać nauczycielką. A na tatę mówili Klaun, bo wciąż się wygłupiał. Nikt się nie dziwił, że poszedł do szkoły aktorskiej... Aktorstwo to przecież zawód w sam raz dla klauna.

- A na mojego tatę mówili Nurek, bo ciągle siedział w wodzie. Uwielbia pływać - powiedziałam.

I wszystkie spojrzałyśmy na Julkę. Na pewno na jej rodziców też jakoś mówili. Na pana Ździebełko... czy Ździebełkę, bo to się chyba powinno odmieniać... musieli jakoś mówić. Nie darowaliby chłopakowi z takim nazwiskiem! Tylko jak? Trawka? Patyczek? A może Patyczak? Jeśli jest tak chudy jak Julka... Ona jednak nie powiedziała nic. Ani o mamie, ani o tacie...

- Na mnie mówili Strachajło - odezwała się nagle kobieta w bordowym szalu. - Bo wszystkiego się bałam. I jeździć na rowerze, i wchodzić na wysokie drabinki, i huśtać się, najwyżej jak się da, tak jak moje koleżanki. A nawet skakać przez skakankę, bo kiedyś zaplątałam się w nią, upadłam i stłukłam kolano. Bałam się też rozmawiać z obcymi i zawsze wyobrażałam sobie, że zdarzy się coś strasznego. Że ktoś mnie porwie, oszuka, okradnie... Kiedyś okradziono nasz dom, jak jeszcze byłam mała, i od tamtej pory ciągle się bałam.

- I chyba zostało to pani do dziś - policjant położył jej rękę na ramieniu, a ona drgnęła, jakby usłyszała wystrzał armatni. - Pani po prostu nie ufa ludziom i spodziewa się po nich wszystkiego, co najgorsze.

- Chyba tak... - kobieta spuściła głowę i otuliła się szalem aż po czubki uszu. A

przecież wcale nie było zimno!

- Rozumiem, że przyznaje się pani do pomyłki - policjant wyjął notes. - Wezwała nas pani na podstawie fałszywych przesłanek. To znaczy coś pani niedokładnie widziała, płonące gazety wzięła pani za pożar... Mogę zamknąć tę sprawę?

- Oczywiście - starsza pani oparła się o ogrodzenie, a po jej policzkach zaczęły płynąć łzy. - Sama nie wiem, co mi się stało. To chyba przez liście, one tak złowrogo szeleściły. Wydawało mi się, że jestem sama, że w żadnym domu w okolicy nie ma ani jednego człowieka. I nagle zobaczyłam was. Rozkrzyczane...

- Rozkrzyczane? - zdziwiłam się. - Naprawdę hałasowałyśmy?

- No, może nie za bardzo... Po prostu wołałyście coś do siebie, z jednego końca ogrodu na drugi. Ale ja zaraz wyobraziłam sobie, że niedługo przyjdą inni. Że będzie wielka prywatka, z morzem alkoholu, że gdy wyjdę na ulicę, żeby wracać do swojego mieszkania, ktoś mnie pobije. Młodzi ludzie są teraz tacy agresywni, codziennie pokazują w telewizji bójki, przemoc, kradzieże. Więc wyobraziłam sobie, że jeden z waszych kolegów odbierze mi klucze, okradnie dom mojej kuzynki, dom, za który jestem przecież odpowiedzialna...

- Nie czekamy na żadnych kolegów - powiedziała Zuzia. A ja i Julka uśmiechnęłyśmy się porozumiewawczo. W naszej klasie naprawdę nie było ani jednego interesującego chłopaka. Ani jednego, którego chciałybyśmy zaprosić na wspólne grillowanie. Większość miała w głowie tylko piłkę nożną. A ci, którzy nie myśleli o piłce, mieli zainteresowania jeszcze mniej pasjonujące. Kuba kolekcjonował ołowiane żołnierzyki, jeździł na drugi koniec miasta, żeby kupić farbki do malowania ich mundurów... Piotrek składał w każdej wolnej chwili modele samolotów... Pewnie żaden z nich nie przydałby się nawet przy rozpalaniu ogniska. Nie to, co Tomek. Mój dryblas z III b, spotkany pierwszego dnia szkoły w drzwiach do budynku. Dopiero od tygodnia wiedziałam, jak ma na imię. Usłyszałam, jak na wuefie, na boisku, jakiś chłopak wołał „Tomek, łap". No i złapał. Mój dryblas. Diabelnie przystojny i diabelnie sympatyczny. Zawsze uśmiechał się do mnie na korytarzu, czasami nawet pytał żartem, czy już nie trzeba mnie odprowadzać do klasy, jak pierwszego dnia. Tak, on na pewno by sobie poradził z każdym grillem i każdym ogniskiem. Ale on nic nie wiedział o naszym spotkaniu. I o tym, że chciałabym, żeby tu był.

- To damski wieczór - powiedziała Julka. - Żadnych facetów.

- Przepraszam, dziewczynki - starszej pani chyba naprawdę było głupio. - Całe życie mieszkam w bloku i tu, w tym starym, pustym domu poczułam się nieswojo. No i ten ogień... Strachajło ze mnie, nic się nie zmieniło od czasów szkolnych. Będę już szła... Nie jadłam nic od rana. Co prawda, kiedy tylko przyszłam do domu kuzynki, zrobiłam sobie kanapkę i

herbatę. Miałam otworzyć okna i usiąść do jedzenia, kiedy dom będzie się wietrzyć, a potem zabrać się za podlewanie kwiatków. Ale, uchylając drzwi balkonu, zobaczyłam, jak biegacie po ogrodzie, wyjęłam z torebki lornetkę... zawsze noszę lornetkę... no i całkiem zapomniałam o kanapce, którą sobie przygotowałam. A teraz zrobiło się już ciemno, a kiszki mi grają marsza...

- To może zje pani razem z nami? I panowie też? - zwróciłam się do policjanta i dwóch strażaków. - Mamy naprawdę mnóstwo jedzenia, nie uporamy się z nim do rana. Zapraszamy na kolację. Jeśli tylko uda nam się rozpalić grilla... albo ognisko...

- Może i ja się na coś przydam? - z czerwonego samochodu wyszedł nareszcie drugi mężczyzna w kombinezonie. Do tej pory w ogóle się nie wtrącał, obserwował tylko przez szybę całe zamieszanie. •» Co prawda zawodowo zajmuję się gaszeniem, a nie rozpalaniem ognia, ale powinienem sobie jakoś poradzić... Macie podpałkę do grilla? Bo bez podpałki to chyba ani rusz...

- Rety! Podpałka! - puknęłam się w głowę, tak mocno, że zabolało mnie i czoło, i ręka.

No jasne, tata zawsze używa podpałki. Polewa węgiel takim czymś jak woda, z dużej butelki. Tyle że to nie woda. Pachnie zupełnie inaczej... to znaczy podpałka pachnie, a woda nie... Taka butelka na pewno jest gdzieś u nas w domu? Tylko gdzie?!

ROZDZIAŁ 6
LEKCJA PALENIA

Ukazało się, że duża plastikowa butelka stała na tarasie, tuż obok worka z węglem. Niestety, była całkiem pusta. Tata zużył całą podpałkę, pewnie jeszcze w lipcu, kiedy po raz ostatni jedliśmy obiad z grilla, i zupełnie zapomniał, że należałoby kupić nową.

- No to z grilla nici - powiedziała Zuzia smętnie. - A taką miałam ochotę na te pieczone cukinie.

- Strażacy nie zawsze potrzebują podpałki - uśmiechnął się wyższy z facetów w kombinezonach. Ten, który pierwszy wybiegł z samochodu i wspierał nas jak mógł, od początku nie wierząc w opowieść o narkotykach.

I faktycznie, podeszli do grilla z dwóch stron, pochylili się, wciągnęli powietrze w płuca, potem dmuchnęli, z całej siły... I już po chwili węgielki skwierczały przyjemnie, a my zawijałyśmy warzywa w folię aluminiową i układałyśmy na ruszcie.

- Ja też tak próbowałam - powiedziałam zawstydzona. - Dmuchałam i dmuchałam, ale jakoś mi nie wyszło.

- Trzeba dużo jeść, żeby zostać dzielnym strażakiem i dmuchać tak mocno, jak my - roześmiał się ten wyższy i rozpiął kombinezon. Chyba musiało mu być bardzo gorąco...

- Nie zamierzam być strażakiem, lecz biegaczką - wyjaśniłam. - Ale biegaczom też przydają się ćwiczenia oddechowe. Podobno pojemność płuc jest bardzo ważna w lekkoatletyce.

- Bardzo - przytaknęła starsza pani i zsunęła szal na ramiona. Od grilla biło takie ciepło... Może z powodu ciepła nareszcie się uśmiechnęła? I jej głos też przestał być lodowaty... - Mój brat uprawiał biegi przełajowe, ciągle powtarzał, że prawidłowe oddychanie to podstawa sukcesu.

Chciałam wyjaśnić, że nie interesują mnie długie dystanse, lecz sprint. Ale nagle zapomniałam o biegach, bo zobaczyłam, że strażak zaczyna przenosić gdzieś gałęzie, które z takim trudem przyciągnęłyśmy z drugiego końca ogrodu.

- Co pan robi z naszym ogniskiem? - oburzyłam się. - Chciałabym je rozpalić, a nie zlikwidować. Chcemy siedzieć na dworze jeszcze kilka godzin, przy ognisku będzie cieplej niż przy grillu. No i miło jest popatrzeć w ogień.

- Właśnie zamierzam rozpalić to ognisko - uśmiechnął się potężny mężczyzna, zarzucając sobie na ramię wielki konar tak, jakby nic nie ważył. A przecież ja i Zuzia ledwo

go we dwie przeciągnęłyśmy po ziemi, odpoczywając co pół metra i dysząc ze zmęczenia jak stare lokomotywy. Pomyślałam, że czasem dobrze jest być wielkim jak szafa strażakiem. Życie jest wtedy chyba o wiele prostsze. Dorośli w ogóle mają lepiej niż nastolatki...

- Chciałbym mieć znowu piętnaście lat, tak jak wy - powiedział policjant, odgadując moje myśli.

Czy naprawdę tak łatwo mnie przejrzeć? Co chwilę ktoś zaczyna mówić o tym, o czym akurat myślę. Czyżby moja głowa była przezroczysta? Czy to możliwe, że z zewnątrz widać każdą moją myśl? Zrobiło mi się słabo, gdy pomyślałam o Marcie Mądrej - może widzi, że nie zawsze uważam ją za tak mądrą, jak sugeruje jej nazwisko? Jest od nas starsza o dziesięć czy jedenaście lat, pracuje jako nauczycielka od trzech tygodni i czasami wydaje mi się, że nie powinna jeszcze być wychowawczynią. Ale wolałabym, żeby o tym nie wiedziała.

- Fajnie było mieć piętnaście lat - policjant, jedząc pieczarki z grilla, wyraźnie się rozmarzył. - To najpiękniejszy wiek. Wszystko uchodzi na sucho, dużo już można robić samemu, dorośli wierzą, że jest się rozsądnym, ale patrzą łaskawym okiem, gdy popełnia się błędy... Jak nigdy przedtem i nigdy potem. Ale docenicie to dopiero, kiedy będziecie miały tyle lat co ja. I zatęsknicie za czasami, gdy byłyście beztroskimi piętnastolatkami, rozpalającymi ognisko w towarzystwie policjanta i strażaków.

Byłyśmy mu wdzięczne, że dodał nam po dwa lata. A przecież widział nasze legitymacje szkolne, obejrzał je dokładnie, kiedy kuzynka państwa Bartosiaków wyskoczyła z oskarżeniem o wrzucanie narkotyków do ognia. A więc na pewno znał nasze daty urodzenia...

- Naprawdę chciałyście rozpalić ognisko pod samym drzewem? - drugi strażak, ten trochę mniejszy od noszącego drewno herosa, popatrzył na nas ze zgrozą. - Chyba musielibyśmy szybko interweniować. Całej ulicy raczej byście nie spaliły, ale to piękne stare drzewo na pewno...

- To mój ukochany orzech - powiedziałam, zła, że zupełnie nie zastanowiłam się nad tym, gdzie kładziemy suche gałęzie. Po prostu bezmyślnie przyciągnęłyśmy je w pobliże grilla. A grill stał obok krzesełek i koszyka z zapasami. A koszyk i krzesełka pod orzechem. Faktycznie, mogłyśmy go spalić, jak jakieś idiotki!

- Może przyda wam się lekcja rozpalania ogniska? - zaproponował strażak numer jeden, ten większy, odkładając ostatni konar. - To będzie bardzo krótka lekcja, a może uratować życie, jeśli nie wam, to przynajmniej kilku drzewom.

I wysłuchałyśmy tego wykładu. Faktycznie krótkiego i wcale nieskomplikowanego.

- Po pierwsze... - powiedział strażak, a wszyscy słuchali w napięciu. Nawet policjant i starsza pani w szalu, która z powodu gorąca bijącego od grilla zamieniła się nagle w starszą

panią bez szala. - trzeba znaleźć odpowiednie miejsce. Nie może być w pobliżu żadnych materiałów łatwopalnych ani zabudowań. A więc odpada miejsce pod orzechem i koło tarasu, chociaż tam siedziałoby się najwygodniej.

- Z dala od tarasu, z dala od domu, z dala od drzew - powtórzyłam w skupieniu. - To już wszystko?

- Niestety nie... Wiele pożarów zaczyna się od tak zwanego przeniesienia płomienia poprzez podłoże. Na przykład przez suchą trawę. Wystarczy mała iskra i ogień przemieszcza się z jednego źdźiebełka na drugie.

Z tymi źdźiebełkami to może nie było najszczęśliwsze porównanie. W obecności Julki... Ale ona na szczęście nie wyglądała na urażoną. Była przejęta wykładem faceta w kombinezonie, zupełnie jak my wszystkie.

- Co to dla nas oznacza w praktyce? - zapytała Zuzia, oczywiście praktyczna do szpiku kości. - Gdzie jest bezpiecznie?

- Tam, gdzie jest czysta ziemia albo piasek. Tak jak u was między ogrodzeniem a garażem. Jeśli chcecie powtarzać takie wieczory, to najlepiej zrobić sobie na stałe palenisko, ogrodzić je kamieniami albo cegłami... Ale jeśli to niemożliwe, zawsze warto mieć pod ręką zapas wody. Wiadro albo wąż podłączony do ogrodowego kranu. A przynajmniej konewkę czy duży garnek. Jeśli tylko ogień zacznie wędrować w niepożądanym kierunku, natychmiast należy użyć wody. Zresztą wodę warto mieć zawsze. Jako zabezpieczenie, nawet jeśli rozpalacie ognisko w wytyczonym kamieniami czy cegłami kręgu. Chociaż, jeśli dbacie o bezpieczeństwo, przyda się tylko do zgaszenia ogniska, gdy będzie po imprezie. Zgaszenie ogniska to naprawdę bardzo ważna sprawa. Mnóstwo pożarów zaczyna się wtedy, kiedy ludzie idą już spać, a wiatr roznieca niedogaszone płomienie.

- Będziemy gasić bardzo, bardzo uważnie - powiedziała Zuzia, podnosząc w górę dwa palce, jak w czasie ślubowania, drugą ręką odwijając jednocześnie z folii aluminiowej upieczoną paprykę. - Ale najpierw musimy jakoś to ognisko rozpalić. Powie nam pan, jak?

- To banalne - strażak wyglądał na znudzonego tłumaczeniem takich prostych rzeczy. Pewnie miał nas za jakieś niedouczone kretynki. - Banalne, ale naprawdę niewiele osób potrafi zrobić to prawidłowo. Trzeba ułożyć stos drewna w stożek... Trójkąt jakby...

- Wiemy, co to jest stożek - uświadomiła mu Julka, chyba nieco urażona.

- Stożek... - kontynuował strażak, nie przejmując się tym, że zrobił przykrość naszej poetce. - Trzeba zacząć od kawałka papieru... Może być gazeta, jeżeli jeszcze wam jakieś zostały po tych próbach z grillem. A więc gazeta i najdrobniejsze gałązki, patyczki, cieniutkie prawie jak zapałki. Oczywiście tylko suche, inaczej nic z tego nie będzie. To jest serce

ogniska, od niego zależy powodzenie całej akcji. Dopiero wokół serca układacie grubsze, większe kawałki drewna.

- Serce ogniska - powtórzyła za nim Julka, szeptem. Miała nieobecny wzrok, pewnie już układała w głowie kolejny wiersz, tym razem o płomiennym sercu...

- Mokre drewno jest do niczego, nie próbujcie go dorzucać nawet wtedy, gdy ognisko już plonie na całego. Mokre gałęzie nie chcą się palić, za to robią mnóstwo dymu i strzelają iskrami. A iskry to kolejne niebezpieczeństwo. Nawet najmniejsza może wypalić dziurę w kurtce albo oparzyć w czoło.

- Konstrukcja jest już gotowa - Zuzia spojrzała w stronę ogrodzenia. Modelowy kopczyk w kształcie stożka czekał na podpalenie.

- No to podpalmy - nasz strażak zbliżył się do kupki drewna z zapałkami. - Można użyć podpałki do grilla, ale wy jej nie macie, to już wiemy... A więc poradzimy sobie tradycyjnymi metodami. Trzeba tylko zwrócić uwagę na kierunek wiatru. Zawsze należy podkładać ogień z takiej strony, by wiatr nagarniał płomień w środek stosu drewna, a nie na zewnątrz.

- A podpala się z kilku stron czy tylko z jednej? - zapytała starsza pani, o której istnieniu już prawie zapomniałyśmy, a która gryzła właśnie z apetytem cukinię z grilla. - Zawsze mnie to intrygowało...

- Można i tak, i tak - uśmiechnął się strażak. - Ja zawsze podkładam ogień tylko w jednym miejscu, w samym sercu, wśród zgniecionych gazet. Wtedy jest największa szansa, że płomień nie zgaśnie i będzie zajmował coraz grubsze kawałki drewna. Nauczył mnie tego dziadek i jego sposób nigdy jeszcze mnie nie zawiódł. Ale są osoby, które wolą przyłożyć kilka zapałek, dla pewności...

Jemu wystarczyła jedna. Już po chwili ognisko jaśniało ładnym, równym płomieniem. A my szykowałyśmy kije, żeby nabić na nie kiełbaski, chleb, jabłka.

- Dziękujemy za lekcję - uśmiechnęła się Zuzia. - Zapamiętamy ją na zawsze.

- I zapamiętajcie jeszcze jedno - strażak nabił kawałek kiełbasy na patyk, ustawił go tak, by ogień nie spalił skórki, tylko ją ogrzewał, a potem mówił dalej: - Was to chyba nie dotyczy, ale chłopcy bardzo lubią skakać przez ognisko. Gdyby chcieli to kiedykolwiek zrobić w waszej obecności, stanowczo zaprotestujcie. To głupia zabawa, często kończy się zapaleniem ubrania, a w rezultacie bardzo groźnymi poparzeniami. Strasznie tego nie lubię.

- My też nie! - zapewniła go Julka i wsunęła w ogień ogromne, czerwone jabłko.

- Wyżej! I na bok! - krzyknęłyśmy jednocześnie ja i Zuzia. Nie byłyśmy mistrzyniami świata w rozpalaniu grilla i ogniska też nie, ale dobrze wiedziałyśmy, że wpychanie patyka w

sam środek ognia zawsze kończy się katastrofą. Lepiej trzymać go wyżej, tak by płomienie tylko lizały kiełbaskę. Albo jabłko. I by upiekły je równomiernie, i w środku, i na zewnątrz, zamiast spalić skórkę i zostawić surowy środek.

Nagle poczułam, że jestem strasznie głodna. Rzuciłam się do koszyka. Czy policjant, strażacy i starsza pani zostawili dla mnie jakąś kiełbaskę? Choćby najmniejszą? A może na grillu jest jeszcze jakaś pieczarka? Albo dwie?

ROZDZIAŁ 7
MOŻE POŚPIEWAMY?

Na nas już czas - strażak otrzepał się z suchych, szeleszczących liści, zapiął kombinezon i ruszył w stronę furtki. Jego kolega, dojadając w pośpiechu grillowaną cukinię, rzucił się za nim.

- Na mnie też już pora, muszę zajrzeć przed końcem służby na komisariat - blond policjant zasalutował nam, całkiem oficjalnie, a potem powiedział: - Zamknijcie furtkę, żeby żadni niespodziewani goście nie przeszkodzili wam w kolacji. I pamiętajcie, żeby dobrze zalać ogień wodą, zanim pójdziecie spać. Bo może zerwać się nagle...

- Wiatr, pamiętamy - uśmiechnęłam się, zadowolona, że już sobie idą.

Nie po to zaprosiłam koleżanki na grilla, żeby spędzać wieczór w towarzystwie policjanta, strażaków i staruszki. Cieszyłam się, że nareszcie posiedzimy same. Porozmawiamy o Zambii... Albo o Emmie... Albo o Tomku z III b. Do tej pory nawet nie miałam okazji powiedzieć im, jak bardzo mi się podoba ten dryblas z krzywo przyciętą grzywką. A naprawdę chciałam im powiedzieć! Może coś zauważyły? Że patrzy na mnie inaczej niż na inne dziewczyny? Że wyczekuje pod naszą klasą? Że... Sama nie wiem, że co, ale chyba mogły coś zauważyć. A ja miałam prawo o to zapytać. Gdy tylko zostaniemy same.

- To co dziewczynki, posiedzimy sobie nareszcie same, bez służb mundurowych - starsza pani, uśmiechnięta i zrelaksowana, umościła sie w wiklinowym foteliku, nie zwracając najmniejszej uwagi na to, że leży na nim sweter Zuzki, i sięgnęła po kolejną kiełbaskę. - Same mówiłyście, że to damska impreza. Żegnamy panów, teraz będziemy rozmawiać jak kobiety z kobietami.

Nie musiałam patrzeć na Zuzię i Julkę, by wiedzieć, że w ich oczach pojawiła się taka sama panika jak w moich. Nasza wspaniała noc. Rozmowy o duchach, szepty przy ognisku, spanie do południa na strychu... I co? I nic! Wspaniałą bezsenną noc diabli wzięli. Zamiast zastanawiać się, czy Marta Mądra ma męża albo narzeczonego i snuć najdziwniejsze historie dotyczące Emmy i jej wielkiej miłości z zamglonych walijskich wrzosowisk, będziemy zabawiać starszą panią, która nagle przestała się bać obcych ludzi, ciemności i ognia.

- To co dziewczynki, pośpiewamy? - siwa kobieta zdjęła kiełbaskę z kija, odgryzła kęsek i zjadła z apetytem, a potem zaintonowała: - *Płonie ognisko i szumią knieje...* Znacie to? Na pewno znacie! No to już, razem: *Płonie ognisko i szumią knieje, drużynowy jest wśród nas...*

Policjant, już wsiadający do radiowozu, nagle zmienił zdanie i ruszył zdecydowanym krokiem w naszą stronę. Czyżby chciał przeprowadzić jeszcze jedną rewizję? Bo na pobranie próbki domniemanej heroiny z grilla chyba już za późno? Węgielki dopalały się, ogrzewając banany leżące na ruszcie...

- Nie będzie się pani potem bała sama wracać? - zapytał policjant bardzo, bardzo troskliwym głosem. - Najpierw pani chyba musi iść jeszcze raz do tego domu pani kuzynki. Ma tam pani torbę, prawda? Trzeba wszystko porządnie pozamykać, a potem jechać do domu... Daleko pani ma?

- Pięć przystanków - starsza pani machnęła uspokajająco ręką. - Jakoś dojadę.

- Ale niedługo przestaną jeździć autobusy... Dochodzi dziesiąta... - policjant chyba naprawdę postanowił się nad nami zlitować i uwolnić nas od towarzystwa starszej pani. W końcu dobrze pamiętał, jak to jest, gdy się ma piętnaście lat. Albo trzynaście... A więc wiedział, że wcale nie marzymy o spędzeniu całej nocy w towarzystwie bojaźliwej kobiety po sześćdziesiątce, a może i siedemdziesiątce, która w dodatku dwie czy trzy godziny temu uważała nas za groźne dla otoczenia i była gotowa zeznawać przeciw nam choćby przed Sądem Najwyższym.

- Dziesiąta?! - starsza pani spojrzała na zegarek, najpierw przerażona, a potem nagle bardzo rozbawiona. W jej oczach, wszyscy zobaczyliśmy to w tym samym momencie, pojawiły się figlarne iskierki. - Nie byłam o tej porze poza domem od klasy maturalnej! Zawsze się bałam. A tu proszę, może być całkiem miło. Może posiedzimy, dziewczynki, do świtu, pośpiewamy i pojadę pierwszym autobusem, chyba koło szóstej?

Chciałam być asertywna. Mama ciągle mi powtarza, że asertywność, czyli umiejętność mówienia „nie” tak, żeby nie ranić innych, to bardzo, bardzo ważna rzecz. Mama chodziła nawet na specjalny kurs, ale niewiele jej pomógł. Wciąż leczy zwierzęta za darmo albo za pół ceny, kiedy widzi, że właściciel ma pusty portfel. A pewnej pani, rencistce, nawet dała zapas jedzenia dla kota na trzy dni. Bo tej pani zabrakło do pierwszego, a kot po operacji musiał być na lekkostrawnej diecie. O naszą dietę i nasze portfele mama jakoś się nie martwiła, przynajmniej nie tak bardzo... No ale ja nie chodziłam na żaden kurs i nie byłam w stanie wymyślić ani jednego sposobu, żeby dać kuzynce państwa Bartosiaków do zrozumienia, że powinna zostawić nas same... I żeby w dodatku zrobić to na tyle delikatnie, by nie było jej przykro. Jak można delikatnie powiedzieć komuś, że nie jest mile widziany?

Spojrzałam z nadzieja na Zuzię. W końcu to ona miała najlepsze pomysły z nas trzech. I nigdy nie traciła zimnej krwi. Tym razem jednak wyglądała na równie bezradną jak ja.

- Niech pani lepiej skorzysta z okazji i da się odwieźć panu komisarzowi do domu -

powiedziała nagle Julka, na którą w ogóle nie liczyłam. Czyżby jej poetycka dusza znalazła sposób na starszą panią? - Słyszałam, że w tej okolicy kręcą się jakieś wyrostki i wyrywają samotnym kobietom torebki. Jednej, która stawiała opór, przyłożyli nawet nóż do szyi...

Ciekawe, skąd Julka ma te wiadomości. Oglądam codziennie informacje w telewizji, ale nic nie słyszałam o napadach w pobliżu mojego domu. Ludzie, którzy przychodzili do gabinetu mamy, też chyba nic nie mówili. A oni zawsze przynoszą jej takie sensacyjne nowinki. Czy to możliwe, żeby przegapili kilka napadów? A może Julka wymyśliła to wszystko dla naszego dobra? Nie byłam pewna, czy kłamstwo można usprawiedliwić, nawet w takiej sytuacji...

- Będziemy spokojniejsze, wiedząc, że wróciła pani do domu pod eskortą - Zuzia chyba nie przeżywała takich rozterek jak ja i postanowiła wesprzeć Julkę w desperackich wysiłkach spławienia kobiety w szalu.

- A my i tak zaraz idziemy spać - i ja wtrąciłam swoje trzy grosze, postanawiając później rozprawić się z wyrzutami sumienia w kwestii niewinnego kłamstwa.

- Głupia ze mnie starucha! - kuzynka Bartosiaków zrozumiała chyba nagle, że nie marzymy wcale o śpiewaniu z nią do rana harcerskich piosenek. - Przepraszam, dziewczynki. Zapomniałam, jak to jest, kiedy ma się piętnaście lat...

- Trzynaście - poprawiła ją Zuzia. Czy wszyscy się dziś uparli, żeby uważać nas za starsze, niż jesteśmy? Z początku było to nawet miłe, ale tak naprawdę wolałyśmy chyba być trzynastolatkami.

- Zapomniałam, że w tym wieku człowiek wcale nie ma ochoty siedzieć ze staruszkami przy ognisku - kobieta wstała z fotelika i ruszyła w stronę furtki.

- Pani wcale nie jest staruszką - zaprotestowałam. - Jest pani pewnie w wieku mojej babci. A mojej babci na pewno nie można nazwać staruszką. W żadnym wypadku.

- Dziękuję, dziewczynki - powiedziała, ściskając mi rękę. - Od dawna nie bawiłam się tak dobrze jak tu z wami. Nigdy chyba nie bawiłam się tak dobrze. Nawet wtedy, gdy miałam piętnaście lat. I trzynaście... Spędziłam z wami cudowny wieczór. Dziękuję.

- To my dziękujemy - zrobiło mi się głupio. Przecież prawie ją wypędziłyśmy! Podstępem, kłamstwem... A ona nie ma pewnie nikogo bliskiego, wraca do pustego mieszkania. - Gdy pani znów tu będzie, żeby podlać kwiatki, proszę do nas zajrzeć - powiedziałam. - Może będzie w domu babcia... Porozmawiacie, wypijecie herbatę...

- Umawiasz mnie na randkę? - zza ogrodzenia dobiegi rozbawiony glos mojej babci. - Z panem policjantem? Czy nie sądzisz, moja droga, że jest dla mnie nieco za młody?

- Umawiam cię z panią - pokazałam palcem na kuzynkę państwa Bartosiaków.

Oczywiście, natychmiast sobie przypomniałam, że to bardzo niekulturalne i babcia będzie załamana, i opuściłam palec, ale było już za późno. Babcia zauważyła i z surową miną pogroziła mi... palcem, oczywiście.

- Na herbatkę? Bardzo proszę, oczywiście, kiedy tylko będzie pani w pobliżu...

Trochę mi ulżyło, że nie wyganiamy starszej pani ot tak, po prostu, na zawsze. Żegnamy się, bo zrobiło się późno, ale przecież jeszcze nas odwiedzi, wpadnie na herbatę. To brzmiało znacznie lepiej niż wypędzenie jej na dobre, bez żadnej nadziei. Moje wyrzuty sumienia gwałtownie się zmniejszyły. Kobieta chyba też była zadowolona. Pomachała nam ręką, otuliła się szczelnie szalem i wsiadła do radiowozu. Oba samochody odjechały spod naszej bramy, tym razem już spokojnie, bez pisku opon. Babcia poszła zamknąć furtkę.

- Kurczę, ale ta twoja babcia fajna - westchnęła Zuzia z zazdrością. - Nawet nie zapytała, co tu robi policja i straż pożarna. Nawet nie mrugnęła okiem!

Nie zdążyłam nawet otworzyć ust, żeby jej odpowiedzieć, kiedy babcia nadeszła ścieżką, od strony furtki, wyjątkowo szybkim i nie hrabiowskim krokiem.

- Moja droga, nie chciałam zaczynać tej rozmowy przy obcych, ale chyba musisz mi coś wyjaśnić - głos babci wcale nie brzmiał tak łagodnie, jak przed chwilą. - Czy możesz mi powiedzieć, co się stało? Co takiego zrobiłaś ty i twoi goście, że w środku nocy podjechał tu radiowóz i wóz strażacki?

- Usiądź, babciu - powiedziałam, zdejmując z fotelika moją bluzę. - To będzie dłuższa opowieść. Może chcesz kiełbaskę? Albo coś do picia?

- Nie wystawiaj mojej cierpliwości na próbę, moja panno! - babcia naprawdę była zdenerwowana. - Chcę usłyszeć wszystko, od początku do końca. Natychmiast!

ROZDZIAŁ 8
JEŻE MUTANTY

Nareszcie same - westchnęła Zuzia, przysuwając fotelik bliżej ogniska i otulając się swetrem. - Kurczę, myślałam, że to nigdy się nie skończy. Najpierw rewizja, potem ta kobieta, która nie chciała nas zostawić...

- Żal mi jej - szepnęła Julka. - Naprawdę ją rozumiem. Przez wiele lat też nie miałam przyjaciół i pragnęłam czyjejś uwagi, a jednocześnie bałam się ludzi, w każdym widziałam ponurego, nienawistnego wilka. Budowałam wokół siebie mur nieufności, żeby nie dać się zranić.

- Ale teraz masz nas - uśmiechnęłam się. - My obronimy cię przed wszystkimi nienawistnymi wilkami świata!

- Za dwa albo trzy tygodnie twoja kolej, Julka - powiedziała Zuzia, sprowadzając nas na ziemię. - Nocujemy u ciebie. Oczywiście będzie to spotkanie robocze w sprawie referatu, jak zwykle... Ciekawe, co nas spotka tym razem? Myślisz, że poznamy twojego dzielnicowego? Nocując u mnie, zapoznałyśmy się z policjantami, u Żaby też, ciekawe, jak będzie u ciebie.

- Może taki już nasz los, te spotkania z policją za każdym razem? - roześmiałam się, spoglądając na Julkę siedzącą pod orzechem. Nie tym najstarszym, moim ukochanym Wojtusiem, ale drugim, znacznie mniejszym i młodszym. Ale i tak o wiele starszym niż moja mama.

Do tej pory Julka ani słowem nie wspomniała, że mogłybyśmy ją odwiedzić. Jeśli nie ma jak nas przyjąć, powinna powiedzieć nam wprost. Zrozumiemy... Ale ona i tym razem postanowiła chyba zmienić temat i nie wspominać o tym, gdzie mieszka i w jakich warunkach.

- Coś się rusza! Tam, w krzakach za drzewami! - Julka poderwała się na równe nogi, wypuszczając z ręki patyk, na którym piekła kromkę chleba.

- To na pewno jeże - powiedziała spokojnie Zuzka, nawet nie patrząc w tamtą stronę. - Żaba, sama mówiłaś, że tutaj są jeże, prawda?

- Prawda - przytaknęłam bez przekonania. Są jeże, to fakt. Śliczne, malutkie kuleczki z igiełkami. Z akcentem na „malutkie”. Siedzą w trawie, a nie na gałęziach. Nie umieją fruwać i nie mają wielkich rąk, którymi mogłyby poruszać dwa metry nad swoją głową. A skoro tak...

- To chyba nie mogą być jeże! - pisnęła Julka.

A więc ktoś powiedział głośno to, co ja tylko myślałam. Liście poruszały się wysoko, nad naszymi głowami. Co znaczyło, że to z całą pewnością nie mogły być jeże... Chyba że jeże mutanty. Dwumetrowe potwory z igłami wielkości długopisu. Albo nawet tłuczka do ziemniaków. Takich jeży należałoby chyba bać się jeszcze bardziej niż ludzi, którzy prawdopodobnie czaili się w krzakach.

- Złodzieje - świszcząco, złowrogo szepnęła Julka. No tak, oczywiście! Kolejna noc, którą spędzamy we trzy... i kolejni złodzieje. Czy już zawsze, zamiast gadać do świtu i chichotać jak normalne nastolatki, będziemy łapać przestępców? Czy to jakaś klątwa?

- Spójrzmy prawdzie w oczy - powiedziała Zuzia, spokojnie i powoli. Jak to ona. - Ktoś zauważył, że jesteśmy same w domu... a właściwie poza domem. Pusty dom stoi otworem, można tam wejść i wynieść wszystko, a my nawet nie zauważymy.

- Dom nie jest pusty, jest tam babcia - zaprotestowałam. I zaraz dodałam: - I śpi, jak zwykle, z zatyczkami w uszach i w czarnej maseczce na oczach. Podobno zapobiega to powstawaniu zmarszczek wokół oczu. Wszystkie hrabianki w jej rodzinie tak robiły. Taki arystokratyczny zwyczaj.

- Czad! - westchnęła z podziwem Zuzka.

- Czad - przyznałam. - Mogą ją wynieść razem z telewizorem i lodówką i nic nie zauważy. Mogą ją zawinąć w dywan i wywieźć w siną dal. Obudzi się punkt szósta, jak zwykle. I zaniepokoi się dopiero, kiedy nie będzie mogła wstać i zacząć swojej codziennej gimnastyki przy otwartym oknie.

Krzaki zaszeleściły jeszcze raz, tym razem znacznie bliżej ogrodzenia. Sama już nie wiedziałam, czy wolę złodziei czy dwumetrowe jeże z tłuczkami zamiast igieł...

Nagle gałęzie rozchyliły się i pośród liści ukazała się twarz. Zamierzałam właśnie zamknąć oczy, żeby nie patrzeć na mutanta i zacząć przeraźliwie wrzeszczeć, ale coś mnie powstrzymało. Coś w tej twarzy właśnie. Po pierwsze, była uśmiechnięta. Czy złoczyńca, włamywacz, morderca może się tak uśmiechać? Szeroko i serdecznie? Chyba nie. Jeż mutant nie uśmiechałby się tym bardziej. Zresztą to na pewno nie była twarz mutanta. I to właśnie był drugi powód, dla którego nie zamknęłam oczu i nie zaczęłam opętańczo krzyczeć. Ta twarz była piękna. Nie jeżowa, lecz męska, a właściwie chłopięca... Nie, to nie był mały chłopiec, tylko chłopak, być może piętnastoletni. Albo szesnastoletni... A więc skoro chłopak, to twarz chłopacza. Jeżeli jest takie słowo. Porzuciłam zagadnienia językoznawcze i zaczęłam się przyglądać tej chłopaczej twarzy wśród liści naszego starego orzecha. Nigdy nie widziałam tak doskonale pięknej twarzy! Moim ideałem jest Mateusz Damięcki. No, ale on

jest sławny i całkiem dorosły... Pewnie niebawem będzie miał żonę i dziecko... albo dwoje dzieci... A więc może się liczyć tylko czysto teoretycznie. Z tych, którzy mogą się liczyć praktycznie, ideałem do tej pory był niewątpliwie dryblas Tomek. Ten, którego spotkałam pierwszego dnia w drzwiach szkoły. Z trzeciej klasy. Ale twarz w krzakach zdecydowanie wygrywała i z Damięckim, i z dryblasem. Chłopak był wysoki, miał piękne czarne włosy do ramion, ogromne oczy i bardzo ciemną karnację. Przynajmniej tak to wyglądało w blasku ogniska. Skąd taki ktoś wziął się na ulicy Cisowej?! Ideał urody, latynoskie cudo, czai się w krzakach na przedmieściu, tuż przy naszej klapie do szamba? Nie, to stanowczo niemożliwe... A więc to mi się tylko śni? On przecież nie może istnieć naprawdę!

- Cześć, Żaba - powiedział chłopak. - Fajnie, że wróciłaś. Czekam tu na ciebie od pięciu dni.

Na mnie? Od pięciu dni? W liściach orzecha?! Chyba coś mi się stało. Musiałam uderzyć się w głowę o jakąś gałąź. A może umarłam i ukazał mi się anioł? Anioły powinny wyglądać właśnie tak jak on. Długowłose, wysokie, uśmiechnięte, przychodzące znikąd. Pewnie zaraz zacznie trzepotać skrzydłami...

- Nie żyję? - zapytałam bez większego zdziwienia.

- Nie żyjesz? - anioł zdziwił się uprzejmie i uniósł czarne, gęste brwi. - Wyglądasz dość żywo. I dość ładnie. Bardzo ładnie nawet, gdyby nie ten ketchup na czole.

- Ketchup?! - no tak, nawet jeśli żyję, jestem niepoprawną kretynką. W liściach orzecha czeka ósme cudo świata, które nie wiadomo skąd zna moje imię, a ja je witam umazana ketchupem, w starych spodniach babci.

- Żaba, otworzysz mi w końcu tę furtkę? - zapytał ideał, nieco chyba zniecierpliwiony. - Żaba, zamurowało cię? Rusz się! Żaba!!!

Ale ja zupełnie nie mogłam się ruszyć. Zamurowało mnie, jak powiedział. Niby dlaczego miałabym otworzyć mu tę furtkę? Kim on jest i skąd mnie zna? Jakim prawem mówi do mnie Żaba?! Tak mogą nazywać mnie tylko przyjaciele!

- No co ty, Ropuszko - Ślepa Dziewuszko? Nie poznajesz mnie? - głos zza furtki dobiegał do mnie jak z zaświatów. Poznałam go! Właśnie w tej chwili! Tylko on jeden, Radek - Niejadek, nazywał mnie Ropuszką - Ślepą Dziewuszką. Chodziliśmy razem do przedszkola, był chyba starszy o rok, może o dwa lata, ale zawsze wpadał do naszej sali i dręczył kogoś młodszego. Najczęściej mnie. Był najokropniejszy w całym przedszkolu. Zawsze miał niezawodny sposób, żeby mnie zdenerwować i doprowadzić do łez. Potrafił to jak nikt. Zawsze celnie uderzał w mój najsłabszy punkt. To on wymyślił, żeby mówić na mnie Ropucha. A potem, kiedy zaczęłam nosić okulary, dołożył do tego Ślepą Dziewuszkę. Ileż ja

się przez niego napłakałam! W dodatku mieszkał kilka domów dalej, na sąsiedniej ulicy. Czasami czołgał się, tak, żebym go nie zauważyła, a potem wyskakiwał z krzaków z wrzaskiem i śmiertelnie mnie przerażał. Odetchnęłam z ulgą, gdy się wyprowadził. Był wtedy chyba w pierwszej klasie... A może to ja byłam w pierwszej klasie? Minęło tyle lat...

- Jestem Radek Makowski - powiedział to, co już sama odgadłam.

- Radek dawno wyjechał - potrząsnęłam głową, wciąż nie zamierzając otworzyć furtki. Nigdy mu nie zapomnę tamtych łez. Nikt w życiu nie kpił ze mnie tak jak on!

- Żaba, to ja! Naprawdę! Dziadek się rozchorował, mama postanowiła, że się przeprowadzamy do niego, nie mieliśmy wyjścia, chociaż tata wcale nie był zachwycony. Ani ja... Mieszkam w swoim starym pokoju, jak wtedy, w przedszkolu. Zacząłem tu chodzić do szkoły, pięć dni temu. I codziennie do ciebie zaglądam. Raz widziałem twoją babcię, jak siedziała w pomidorach, a raz twoją mamę, gdy odprowadzała pacjenta do furtki, ale ciebie nigdy.

- Przez ostatni tydzień bardzo późno wracałam do domu - powiedziałam najbardziej lodowatym głosem, jaki mogłam z siebie wydobyć. - Pisałam z koleżankami referat.

- Referat? No to całe szczęście, bo już myślałem, że mnie unikasz - roześmiał się Radek, a ja przypomniałam sobie ten jego ton. Taki sam jak w przedszkolu! Aż zrobiło mi się zimno.

- Nie unikałam cię, bo nie wiedziałam, że wróciłeś - wciąż byłam zimna i niedostępna jak Antarktyda. - A poza tym, niby dlaczego miałabym cię unikać? Nie widziałam cię od sześciu czy siedmiu lat, nie mam do ciebie żadnych pretensji.

- Całe szczęście - chłopak przywołał na twarz uśmiech, jakiś krzywy i nieprzyjemny.

Jak ja mogłam pięć minut temu uważać go za ideał urody? Chyba nawet pomyślałam o nim przez chwilę „anioł”? No tak, istny anioł. Gdyby przedszkolaki znały słowo „samobójstwo”, chyba bym już nie żyła. Potwór w pięknej skórze! Zresztą naprawdę wcale nie wydawał mi się śliczny, od kiedy wiedziałam, kim jest. Wszystko miał jakieś takie niesymetryczne, jedna brew unosiła mu się znacznie wyżej od drugiej...

- Te wasze kiełbaski tak smakowicie pachną, nie trzymaj mnie już za furtką - poprosił Radek, nagle przymilny i uroczy. Nie dałam się nabrać, ale moje przyjaciółki chyba tak. Julka zaczęła kopać mnie w nogę, a Zuzka szczypać w biodro.

- Otwórz tę furtkę! - szepnęła dramatycznie, prosto do mojego ucha.

Co miałam zrobić? Nie będę przecież im tłumaczyć tutaj, przy nim, dlaczego nie chcę mieć z Radkiem nic wspólnego. Z niechęcią wzięłam klucz i wolnym krokiem, prawie jak sparaliżowana, ruszyłam w stronę ogrodzenia. Byłam wściekła. Po co on tu przyszedł?

Zepsuje nam resztę wieczoru! Najpierw policja i kuzynka państwa Bartosiaków, potem babcia, a teraz, kiedy nareszcie zostałyśmy same, Radek - Niejadek. Czy mnie się wydawało, czy moje przyjaciółki jeszcze przed chwilą się cieszyły, że zostałyśmy przy ognisku same i nareszcie będziemy mogły porozmawiać? I co, nagle zmieniły zdanie, bo chłopak wygląda jak „latino lover" z jakiegoś wenezuelskiego serialu? Byłam zła już nie tylko na Radka, ale też na Zuzkę i Julkę. Z drugiej jednak strony... Nie, nie miałam prawa się na nie wściekać. One przecież o niczym nie wiedziały. Widziały tylko miłego, przystojnego chłopaka. Nie miały pojęcia, jak bardzo byłam kiedyś przez niego nieszczęśliwa, jak strasznie mi dokuczał... Nie rozumiały, że on nie ma prawa przychodzić tu, przymilać się i wpraszać na jedzonko. Nasze jedzonko, którego zostało już tak niewiele! Nasze pieczone banany z miodem! Pewnie zamierza mnie upokorzyć, jak kiedyś. Gdy tylko wejdzie do mojego ogrodu, na pewno pokaże swoją prawdziwą twarz i znów zrobi się nieprzyjemny i złośliwy.

- No, Ropuszka, namyśliłaś się wreszcie! Dzięki Bogu! - no proszę, już przeszedł z Żaby na Ropuchę. A to dopiero początek!

- Może przyszedłbyś kiedy indziej? - podjęłam ostatni heroiczny wysiłek. - Piszemy z koleżankami referat...

- W tej ciemności? - roześmiał się Radek, a Zuzia uszczypnęła mnie jeszcze mocniej niż poprzednio. Dlaczego nie mogłam jej nic wyjaśnić? Ani jej, ani Julce... Nie mogłyśmy przecież porozmawiać, nie przy nim... A one obie najwyraźniej nie mogły się doczekać, kiedy go wpuszczę! Niech im będzie. Ostrzegałam, jak mogłam, powinny się domyślić, że nie mam ochoty go widzieć... Ale się nie domyśliły. A więc proszę bardzo. Furtka otwarta, droga wolna! Niech wchodzi! I niech one sobie z nim rozmawiają, bo ja nie mam zamiaru.

- Żabuchna, jaka z ciebie fajna dziewczyna! - Radek objął mnie swoimi długimi rękami i podniósł.

- Zostaw mnie w spokoju! - wyrwałam mu się i odeszłam w stronę ogniska, posyłając Zuzce i Julce gniewne spojrzenie. Ale chyba go w tej ciemności w ogóle nie zauważyły. A może nie chodziło o ciemność? Może po prostu były zbyt zapatrzone w pięknego Radeczka? Czy naprawdę nie widziały, że on jest cały asymetryczny?! Nie tylko brwi, ale i uszy, i dziurki od nosa, lewa większa od prawej, i kąciki ust, prawy jakoś tak kpiarsko uniesiony do góry... Nie znoszę takich asymetrycznych, kpiarskich twarzy. I te nogi, i ręce, jak prawdziwe patyki. Pewnie ciągle jest niejadkiem, jak wtedy, kiedy był mały i rodzice ganiali go po całej ulicy, żeby zjadł jeszcze łyżeczkę kaszki.

- No to co, Ropuszka, znowu jesteśmy sąsiadami - Radek nie opuszczał mnie ani na krok. - Będzie fajnie, jak w przedszkolu.

- Nigdy już nie będzie tak jak w przedszkolu! - krzyknęłam i pobiegłam w stronę domu.

ROZDZIAŁ 9
ŻAŁOSNY LOS GOSPODYNI

Nawet nie wiedziałam, że tak mnie to jeszcze obchodzi i tak we mnie siedzi... - łkałam Julce w mankiet, pijąc herbatę z cytryną w moim ulubionym miejscu: pomalowanej na zielono kuchni, z krzywym kominkiem ukrytym za stołem.

Zuzka została z Radkiem w ogrodzie. Przybiegła za mną, jak Julka, ale kazałam jej wracać i go pilnować. Jeszcze mi dom podpali, jak zauważy, że nikt nie patrzy. Już w przedszkolu był potworem, nie mógł się całkiem zmienić. Na pewno jest niebezpieczny!

- Takie sprawy z wczesnego dzieciństwa zawsze zostają i bolą, do końca życia - Julka na szczęście nie nabijała się ze mnie i nie uważała, że histeryzuję. - Ja też mam okropne wspomnienia z dzieciństwa... naprawdę okropne... Teraz to byłyby głupstwa. Nic, czym mogłabym się przejąć. Teraz wcale bym na to nie zwróciła uwagi... Ale gdy ma się cztery czy pięć lat, wszystko wygląda inaczej. Świat jest o wiele mniejszy, każde wydarzenie unosi nas pod chmury w euforii albo strąca w otchłań rozpaczy.

- Radek zawsze mnie strącał w otchłań rozpaczy - uśmiechnęłam się po raz pierwszy od chwili, gdy go ujrzałam.

- Tak jak mój tata - westchnęła Julka. - Kędy byłam mała, prawie codziennie doprowadzał mnie do łez. I do dziś jestem na niego zła, mimo że to były drobiazgi, naprawdę. Jakieś niewybredne żarty, docinki, nic, czym bym się dziś przejęła. Jedno słowo za dużo, rzucone po paru drinkach...

Więc jej rodzice są nie tylko biedni, ale w dodatku piją. Przynajmniej ojciec. Wyobraziłam sobie gburowatego grubasa, który przychodzi do domu po całym dniu pracy (Nie umiałam sobie już nawet wyobrazić, gdzie pracuje! Żadne zajęcie nie było dostatecznie złe i kiepsko płatne dla tego typa, doprowadzającego po pijanemu do łez moją przyjaciółkę!) i śmieje się z wierszy Julki. Może nawet mówi jej, żeby lepiej poszła poszukać w śmietniku jakichś kartonów albo oddała na makulaturę te swoje grube, zapełnione wierszami zeszyty i pamiętnik, który nazywała Tobiaszkiem, to przynajmniej będzie miał parę groszy na piwo... Wyraźnie go nie lubiłam. Kto wie, co jeszcze okropnego zrobił jej i jej mamie? Może je bije? Julka mówiła przecież, że te drwiny to „nic takiego”, to drobiazg... A więc co uznałaby za „coś”, za poważną sprawę? Pewnie bicie właśnie. Jak jej pomóc? Czy mogę porozmawiać z policją bez jej zgody? Bo ona na pewno nie będzie chciała skarżyć na ojca...

- Przykro mi, że Radek zepsuł ci taki wspaniały wieczór - Julka objęła mnie

ramieniem, a ja spojrzałam na nią zdumiona. Na moment całkiem zapomniałam o Radku, zajęta jej potwornym ojcem.

- Jesteś kochana! Przejmujesz się takimi głupotami, choć sama masz znacznie poważniejsze problemy - szepnęłam.

Tym razem ona popatrzyła na mnie ze zdziwieniem.

- Nie mam żadnych poważnych problemów - powiedziała.

No cóż, skoro nie chce o tym mówić...

- Wracajmy do ogrodu - wstałam z krzesła, dopijając resztkę herbaty. - Burczy mi w brzuchu, prawie nic jeszcze nie zjadłam. A Radek pewnie już pochłoną! resztki naszych zapasów. I wszystkie banany, a tak chciałam spróbować, jak smakują, polewane miodem... A poza tym w końcu jestem tu gospodynią. Nie mogę tak po prostu przesiedzieć całego wieczoru w domu tylko dlatego, że ktoś nazywał mnie Ślepą Dziewuszką osiem czy dziewięć lat temu! I wywalił mi na głowę cały talerz zapiekanych buraczków. Muszę tu tkwić, jak żołnierz na posterunku. Bez względu na wszystko.

- Jesteś taka rozsądna, podziwiam cię - powiedziała Julka, kiedy gasiłam światło w kuchni. W końcu mama ciągle powtarza, że powinniśmy oszczędzać energię.

- Radek pochwalił nasze ognisko! - zawołała Zuzka, gdy tylko usłyszała, że idziemy. - I powiedział, że mamy wzorowo wystrugane kije. Wiesz, on się na tym świetnie zna.

- Zna się na wszystkim, to prawdziwy omnibus - mruknęłam pod nosem, znowu zła. A przecież obiecałam sobie i Julce, że już się nie dam wyprowadzić z równowagi.

- Radek powiedział, że powinniśmy jeszcze trochę poczekać z tymi ziemniakami, żeby ich nie spalić - Zuzi wyraźnie coś się stało. Nagle przestała być praktyczna i energiczna. Nawet jej oczy, zwykle sprawiające wrażenie mądrych i stanowczych, zrobiły się jakieś takie maślane.

- Pewnie, że poczekamy - przytaknęła Julka. - Każdy głupi wie, że ziemniaki piecze się, kiedy ognisko dogasa, w popiele, a nie w ogniu.

Każdy głupi? A mówiła, że nigdy nie rozpalała ogniska. No cóż, nie będę się z nią kłócić, nie przy Radku. Może nie rozpalała, tylko przychodziła wtedy, gdy dogasało? Specjalnie na ziemniaki z popiołu?

- Może coś jeszcze zjesz? - Zuzia wyraźnie leciała na Radka. I to jak! Nie wierzyłam własnym oczom. Zdjęła z patyka swoją kiełbaskę i oddała mu bez słowa. Zuzka! Największy łakomczuch w klasie! To naprawdę do niej nie pasowało. Czy to objaw miłości od pierwszego wejrzenia? Jeśli tak, to ja nie chcę nigdy tego przeżyć. Nie będę oddawać facetowi swoich lodów, swojego jabłka, swojej sałatki z fasolki i szarlotki z bitą śmietaną. Nigdy w życiu!

- A może masz ochotę na pomidory? - Zuzka wychodziła ze skóry, żeby mu dogodzić. - Przyniosę ci!

- On nie znosi pomidorów - powiedziałam i nagle, niespodziewanie, przyszedł mi do głowy plan słodkiej zemsty. Ośmieszę go! Po czymś takim Zuzka na pewno nie będzie już chciała na niego patrzeć. Genialny pomysł! - Nie lubił ich już w przedszkolu, a zawsze chciał, żeby go wychowawczynie chwaliły... Więc gdy tylko się odwróciły, przekładał pomidory na mój talerz. Siedzieliśmy w stołówce wszyscy razem, maluchy ze starszakami, a on upodobał sobie do dręczenia właśnie mnie. Przerzucał pomidory w okamgnieniu, całą porcję, a ja oczywiście nie mogłam już zjeść ani plasterka... No i pani rozkładała ręce i mówiła: „Nasza Kasia, jak zwykle, zostawiła pełny talerz. Będę musiała poskarżyć się twoim rodzicom, że nic nie jesz!”. A Radka chwaliła i głaskała po głowie. Robił tak zresztą nie tylko z pomidorami. Przerzucał na mój talerz kapustę, szpinak, kalafiora, tłuste mięso, ziemniaki, jeśli miał za dużo... Potem namówił swoich kolegów, żeby też oddawali mi to, na co nie mają ochoty. Zdarzało się, że panią bardzo złościł mój wypełniony po brzegi talerz. Wymyślała mi wtedy jakąś karę, na przykład stawiała mnie w kącie. A Radek przychodził mnie rozśmieszać i obrywałam jeszcze bardziej, bo przecież nie wolno się śmiać w czasie kary... - poczułam, że łzy napływają mi do oczu. Naprawdę te wspomnienia wcale nie zbladły. Upokorzenie bolało tak samo jak wtedy, gdy miałam cztery lata. No, ale jeśli dzięki temu przekonam Zuzkę, że Radek nie jest dobrym kandydatem na romantycznego ukochanego, to chyba warto przez chwilę powspominać te najokropniejsze chwile?

- Kurczę, ale byłeś sprytny! - powiedziała Zuzia z podziwem. Z podziwem! Ona całkiem zwariowała! W ogóle się nie przejęła tym, jakie upokorzenia przeżywałam przez tego typa.

Z całej opowieści o moich dziecinnych dramatach zrozumiała tylko tyle, że Radek dobrze sobie radził.

- To nie spryt, tylko okrucieństwo - Julka na szczęście stanęła po mojej stronie. - Takie zachowanie jest niedopuszczalne.

- Miałem wtedy sześć lat - powiedział Radek, chcąc się chyba usprawiedliwić. - Wydawało mi się to śmieszne...

- Ale nie było - Julka zachowywała się jak prokurator. - Powinieneś przeprosić.

- Przepraszam - Radek wyciągnął swoją chudą, pajęczą rękę i pocałował mnie w dłoń. Byłam całkowicie zaskoczona. Nawet nie zdążyłam jej cofnąć!

Tym razem i Julka, i Zuzka aż pisnęły z zachwytu. Uznały, że zachował się jak dżentelmen. Ja wiedziałam, że to po prostu tani chwyt, który nic nie znaczy, ale co miałam

powiedzieć? Nie chciałam im psuć zabawy, w końcu byłam gospodynią. Po raz pierwszy zrozumiałam, co miała na myśli babcia, mówiąc, że los gospodyni często jest żałosny. I że nie ma nic zabawnego w podejmowaniu gości. Miała rację. Trzeba znosić ich humory, udawać, że jest uroczo, i rozsyłać uśmiechy. Babcia zawsze mi to powtarzała. Mówiła, że gościom należy pozwalać na wszystko. „Nawet jeśli koleżanki zepsują ci ulubioną lalkę albo rozbiją ukochany kubek, musisz mówić, że nic się nie stało, że to drobiazg", powtarzała. Z kubkiem i lalką nie miałabym problemu. Babcia hartowała mnie od dzieciństwa. Pamiętam, jak łzy kręciły mi się w oczach, kiedy moja sąsiadka urwała ogon Feliksowi, pluszowemu pieskowi, z którym sypiam do dziś. Ale nic nie powiedziałam. A przecież miałam ochotę ją oskalpować. Ale nie mogłam, była moim gościem! Teraz było znacznie gorzej. Radek nie rozbił mi kubka, nie zepsuł lalki ani nawet Feliksa. On kradł mi Zuzię! Zmieniała się z każdą minutą. Nawet Julkę oczarował tym pustym gestem, tymi przeprosinami z pocałunkiem w dłoń. Czy one nie wiedziały, że to nic nie znaczy? Że on jest taki sam jak w przedszkolu? Nie zmienił się, byłam tego pewna. Ale nie mogłam go wyrzucić z ogrodu. Bo gospodyni musi udawać zachwyconą. Muszę się uśmiechać, powtarzałam sobie w myślach. Jestem przecież spadkobierczynią Łaniewskich. Wnuczką hrabianki. Mój jedyny spadek to rozlatujący się dom, stary orzech, pod którym siedzimy, i mnóstwo zasad. Takich jak ta o dobrym traktowaniu gości. Ale spadku chyba nie wolno się wyrzec?

- Przeprosiny przyjęte - powiedziałam z przyklejonym uśmiechem. - Może chcesz napić się soku?

- Muszę już iść - Radek spojrzał na zegarek i poderwał się z krzesła. - Strasznie już późno, a ja jutro wstaję o szóstej.

- Przecież jutro sobota - zdziwiłam się.

- W soboty jeżdżę z dziadkiem na rehabilitację, na drugi koniec miasta - wyjaśnił mój przedszkolny wróg. - Muszę pomagać mamie nosić wózek, tam nie ma podjazdu dla niepełnosprawnych i są wysokie krawężniki... A na dziesiątą idę do pracy.

- Do pracy? Przecież nieletnim nie wolno pracować? - Zuzka na moment odzyskała trzeźwość umysłu.

- To taka prywatna praca, u znajomego taty. Mam mu wyszukiwać w Internecie różne potrzebne informacje. On prowadzi firmę, a nie zna angielskiego, no i obiecałem, że mu pomogę w weekendy. A za to on kupi dziadkowi łóżko przeciwodleżynowe.

- No to cześć - nie zamierzałam go zatrzymywać. Chociaż trochę mi tym łóżkiem dla dziadka zamącił w głowie. Byłam pewna, że jest bezwzględnym, egoistycznym, głupio chichoczącym typkiem. A on mi tu wyjeżdża z dźwiganiem wózka inwalidzkiego o szóstej

rano! I jak mam go nienawidzić?!

ROZDZIAŁ 10
MISIE - PATYSIE

To bohater! - minęło pół godziny od wyjścia Radka, a my wciąż nie byłyśmy w stanie zmienić tematu. Przede wszystkim z powodu Zuzi. Cały czas rozpływała się nad tym, jaki on jest cudowny, jaki wrażliwy, dobry, troskliwy... Robiło mi się słabo od jej westchnień. Gdzie była moja dawna przyjaciółka, Zuzanna Zawadzka? Ta, która zawsze twardo stąpała po ziemi? Dlaczego ją podmieniono na jakąś wzdychającą idiotkę?

- Skąd wiesz, czy nie wymyślił choroby dziadka? - powiedziałam, chociaż sama uważałam to za mało prawdopodobne. W końcu nie był głupi. Mieszkał kilka domów dalej, na sąsiedniej ulicy. Mogłam poprosić babcię, żeby się tam wybrała z wizytą, pod byle pretekstem. Przecież znała dziadków Radka i Radek o tym wiedział. Nie kłamałby, nie w takiej sprawie, zbyt łatwo mogłam to sprawdzić. Zresztą musiał mieć jakiś powód do przeprowadzki... Pewnie więc mówił prawdę. Miał chorego dziadka i troskliwie się nim zajmował. Nie był taki zły...

- On jest piękny - westchnęła Julka. - Wiem, że nie był w przedszkolu idealnym kolegą i może nawet teraz kpił sobie z ciebie niezbyt sympatycznie... ale piękny jest, nie zaprzeczysz. Jak hiszpański poeta.

- Asymetryczny poeta! - syknęłam. Czy one obie oszalały?! - Nie zauważyłaś, że wszystko ma w twarzy jakieś takie nie do pary. Wyżej - niżej, większe - mniejsze... Cały jest asymetryczny! Nie znoszę asymetrycznych facetów.

- To mu tylko dodaje męskości - Julka nie zamierzała ustąpić. - A zresztą, wydawało mi się, że całkiem ci się podobał, kiedy pojawił się w tych krzakach? Zanim jeszcze dowiedziałyśmy się, kim jest...

Może i miała rację? Jak przez mgłę pamiętałam, co wtedy myślałam, ale trochę pamiętałam. „Latynoskie cudo”... I jeszcze coś o tym, że urodą wygrywa i z Mateuszem Damięckim, i z Tomkiem z III b. I coś o aniołach, które powinny wyglądać tak, jak on... I o ósmym cudzie świata...

- Podobał mi się - przyznałam niechętnie. W końcu to moje najlepsze przyjaciółki. Założyłyśmy Sekretne Siostrzane Bractwo Zet i obiecałyśmy, że nie będziemy miały przed sobą tajemnic. A więc musiałam przyznać, że byłam nim zachwycona. Wtedy, w krzakach. - Ale teraz, kiedy na niego patrzę, nie widzę latynoskiego cuda. Widzę Radka - Niejadka, złośliwego i okropnego. Widzę półmisek buraczków, który ląduje na mojej głowie. Widzę

pasmo upokorzeń. Nie mogę już tego oddzielić. Jego wygląd przestał się liczyć. Rozumiecie?

Julka i Zuzka niepewnie pokiwały głowami. Dla nich liczył się przede wszystkim jego wygląd. Były zachwycone. Na ten temat najwyraźniej miałyśmy różne zdania. Ale to przecież nic złego. Przyjaciółki nie muszą zgadzać się we wszystkim...

- Zakochałam się - westchnęła Zuzia. - Nigdy nie spotkałam takiego faceta. Czy to możliwe, że jest od nas tylko dwa lata starszy?

- Chyba raczej rok - sprostowałam. Wciąż nie by tam pewna, do której grupy chodził, kiedy ja przyszłam do przedszkola. Jakie to zresztą miało znaczenie?

- Jest taki dojrzały i dowcipny, i dobry, i... - Zuzi chyba zabrakło słów zaczynających się na „do". - I taki niesamowicie przystojny!

- Patyczak, Radek - Niejadek - powiedziałam kpiąco. - Ani kawałka mięśnia.

- Lubię patyczaki. Chudziutkie, wysokie patyczaki - westchnęła Zuzia, rozmarzona.

- On też ma, tak jak ty, czarne włosy i oczy - powiedziała Julka, wpatrując się w Zuzkę uważnie. - Jakby się przyjrzeć dokładnie, to nawet podbródki macie odrobinę podobne. A jest teoria, że ludzie, którzy się z sobą wiążą, powinni być podobni. Wtedy będą szczęśliwi.

- Ale przecież on jest wysoki, szczupły, a ja...

- Chodzi o twarz, nie o wzrost i wagę - Julka nie dała się wybić z rytmu. - Obydwoje macie okrągłe, ciemne oczy i smagłą cerę, jak południowcy. Już sobie wyobrażam wasz ślub. Weźmiecie go zaraz po maturze. Po twojej maturze. On będzie już na studiach. Ty założysz suknię w rumianki... I wepniesz białe rumianki w swoje czarne włosy. A Radek założy biały smoking. I białe spodnie, i białą muchę. Obydwoje macie ciemną karnację, będziecie wyglądać jak królewska para. Napiszę o was wiersz, już to widzę...

Oczy czarne, włosy czarne
W oczach ogniki figlarne
W sercu miłość wielka płonie
Z dłońmi się splatają dłonie
Radosław i Zuzanna
Pan młody, młoda panna
Obrączki ich łączą na wieki
Łza ciśnie się spod powieki
Głos mi odbiera wzruszenie
Ten dzień to marzeń spełnienie

- Ty tak możesz na poczekaniu? - zapytałam zdumiona. Widziałam, jak Julka pisała wiersze, widziałam już wiele razy... Ale żeby bez zeszytu, bez długopisu, rymować w

pamięci? I to TAK rymować?!

- Kurczę, myślisz, że ja naprawdę mogłabym pewnego dnia za niego wyjść? - rozmarzyła się Zuzka. - Myślisz, że w wieku trzynastu lat można się zakochać na zawsze?

- Moja babcia poznała dziadka, gdy miała siedem lat - powiedziałam. I zaraz dodałam uczciwie: - Ale to były jednak trochę inne czasy...

- Musisz za niego wyjść, jesteście dla siebie stworzeni! - Julka chyba naprawdę wierzyła w to, co mówiła. - To przeznaczenie, nie mam wątpliwości! Będzie z was piękna para. No i będziecie mieli śliczne dzieci...

- No nie, tym razem chyba trochę przesadziłaś! - popukałam się w głowę. - Zuzka stanowczo jeszcze nie powinna mieć dzieci. Ani dziś, ani za pięć, ani nawet za dziesięć lat!

Czy one naprawdę oszalały? Zuzia powinna skończyć gimnazjum, liceum, studia... Za dziesięć lat, jak dobrze pójdzie, będziemy bronić prac magisterskich. I szukać pierwszej pracy. To jednak wciąż będzie trochę za wcześnie na rodzenie dzieci. Może za dwanaście lat? Albo trzynaście? Trzynaście lat to akurat tyle, ile przeżyłyśmy do tej pory. Kawał czasu... A doprowadził nas dopiero do pierwszej klasy gimnazjum.

- Dla prawdziwej miłości czas nie ma znaczenia. Nigdy nie jest na nią za wcześnie. Szekspirowska Julia też była nastolatką - powiedziała Julka. Wbrew pozorom, nie Capuletti, lecz Ździebełko.

- Myślisz, że Radek byłby gotów do takich poświęceń jak Romeo? - westchnęła Zuzia. - Że wyrzekłby się rodziny w imię miłości i uciekłby ze mną z domu?

- Może zajmiemy się naszym referatem? - przerwałam im te plany, niezbyt sympatycznie. Musiałam im jednak przypomnieć, kim jesteśmy. Gimnazjalistkami! Pierwszoklasistkami! Jest zdecydowanie za wcześnie na wybieranie sukien ślubnych i imion dla dzieci! Nie mogłam czekać spokojnie, aż zaczną planować życie Zuzki i Radka po czterdziestce.

- A pomyśl, jak będzie pięknie, kiedy przejdziecie na emeryturę - Julka najwyraźniej mnie ignorowała. Jej plany sięgały znacznie dalej, niż sądziłam. - Dzieci wyfruną z rodzinnego gniazda, zostaniecie znowu sami, przeżyjecie drugą młodość. Będziecie pić kakao przy kominku, wasze czarne włosy przyprószy siwizna...

- Julka, rety... - brakowało mi słów. - My mamy trzynaście lat, a ty zaraz zaplanujesz nam pogrzeb!

- Nie nam, tylko Radkowi - czy ona nie zauważyła, że starałam się być ironiczna?! - On jest jednak starszy od Zuzki, a mężczyźni w Polsce statystycznie żyją krócej. Tak, to będzie piękny pogrzeb. Już widzę, Zuzia, jak idziesz za trumną, z włosami białymi jak

skrzydła mewy, w czarnej skromnej sukni, zalana łzami. Ucałujesz swoją obrączkę i rzucisz ją wraz z grudką ziemi do grobu.

- A zaraz potem trzech pazernych grabarzy, którzy to zobaczą, rozgrzebie mogiłkę, żeby znaleźć obrączkę i sprzedać u znajomego pasera - nie byłam pewna, co oznacza to słowo, słyszałam je w telewizji... Chyba nosiło się do niego kradzione rzeczy, a on sprzedawał je dalej?

To by nawet pasowało, w końcu wykopanie obrączki na cmentarzu to też kradzież. Zresztą, jakie to ma znaczenie? Ja po prostu chciałam, żeby Julka i Zuzka wróciły na ziemię, zamiast planować rzucanie grudek ziemi na trumnę Radka! To naprawdę było beznadziejne.

- Mamy do napisania referat - powtórzyłam, bardzo głośno i bardzo powoli. - Referat o Zambii. Jest jedenasta, a my co? Nie posunęłyśmy się ani o centymetr.

- Możemy się tym zająć jutro - machnęła ręką Zuzka. - Przed nami przecież cały weekend.

- Jutro mamy uczyć się matmy - przypomniałam. - Klasówka, która zakwalifikuje nas do grupy zaawansowanej lub nie. Na całe trzy lata! Obiecałyśmy sobie, że zrobimy, co w naszej mocy, by się dostać do lepszej grupy.

- Co za głupi pomysł, swoją drogą, z tymi grupami - pokręciła głową Julka. - Ci z niezaawansowanej mogliby podać szkołę do Trybunału Konstytucyjnego. To przecież dyskryminacja, a w gimnazjum wszyscy powinni być traktowani równo. Żeby mieć równe szanse w drodze do liceum. I potem na studia. A tu jedna głupia klasówka zadecyduje o tym, jak będziemy traktowani przez resztę życia. Na pewno wygramy w Trybunale Konstytucyjnym, dostaniemy odszkodowanie...

- Trybunał Konstytucyjny nie zajmuje się chyba prawami człowieka - sprostowałam niepewnie. - A tu jednak chodzi o prawa człowieka.

- A prawa człowieka gwarantuje konstytucja - Julka nie dawała się zbić z tropu. Na szczęście zapomniała, przynajmniej chwilowo, o Radku i jego małżeństwie z Zuzką. I o ich miłości do grobowej deski.

- Jutro matma, pojutrze piszemy wypracowanie o autorytetach i drugie, o najpiękniejszej wakacyjnej przygodzie... Swoją drogą, ile wypracowań można zadać na jeden weekend? - westchnęłam.

- Dużo - pokiwała głową Zuzka. - Dobrze, że nie mamy chemii i fizyki z moją mamą. Ona zadaje swoim klasom takie doświadczenia, że ludzie siedzą cały tydzień po nocach nad jakimiś probówkami. Jest bezlitosna. Nasza polonistka to przy niej luzak. Zresztą, na to wypracowanie o wakacjach to ja już mam pomysł.

- Szkoda, że nie zadała go zaraz po wakacjach - powiedziałam. - Teraz wspomnienia już zbladły...

- Moje nigdy nie zbledną - zaprotestowała Zuzka. - Na Mazurach było fantastycznie. Brałam udział w Pierwszych Mistrzostwach Świata w Misiach - Patysiach. I zakwalifikowałam się do finału!

- Mistrzostwach Świata? - moja wyobraźnia pracowała na pełnych obrotach. Od trzech lat marzyłam, żeby się zakwalifikować choćby do osiedlowych zawodów w lekkoatletyce. A Zuzka, pulchniutka, malutka, dostająca zadyszki po zrobieniu pięciu przysiadów, weszła do finału?!

- W czym te mistrzostwa? - upewniła się Julka. - W Misiach - Patysiach?

- Nie czytałyście „Kubusia Puchatka”? - zdziwiła się Zuzka. A ja i Julka jednocześnie stuknęłyśmy się w głowę.

- No jasne! Misie - Patysie! Zawody nad rzeczką!

- W Węgorzewie jest park, a w nim rzeczka i mostek... chyba najbardziej kubusiowy mostek w Polsce. I właśnie tam odbyły się mistrzostwa w puszczaniu patyczków na wodę. Czyj dopłynie pierwszy, ten wygrywa.

- I co, dużo ludzi brało udział? - jakoś nie mogłam sobie tego wyobrazić. - Pewnie same przedszkolaki?

- Sto czterdzieści cztery osoby! - Zuzia naprawdę była podekscytowana. - Facet stał na mecie i łapał patysie, było jury, ludzie ozdabiali swoje patyczki malunkami, nadawali im imiona, niektórzy doprawiali żagielki. To była fantastyczna impreza. Trwała pół dnia. Najstarsza zawodniczka miała chyba z sześćdziesiąt lat.

- A jakie były nagrody? Zwycięzca dostał patyczek na własność? - Julka była nastawiona do sprawy dość sceptycznie.

- Wszystkie patyczki wracały po wyścigu do właścicieli - Zuzia nie dostrzegła ironii, bił z niej zachwyt. - Główną nagrodą były trzy kilogramy miodu. A dla każdego uczestnika przygotowano nagrodę pocieszenia.

- Dla stu czterdziestu czterech osób? - nie mogłam sobie tego wyobrazić. Ale Zuzia energicznie pokiwała głową.

- Wszystko przeczytasz w moim wypracowaniu - oświadczyła. I zapytała: - A wy o czym napiszecie?

- Ja o ostatnim dniu wakacji - powiedziała Julka poważnie. - Czekałam na niego ponad dwa miesiące. Marzyłam o tym, żeby wakacje wreszcie się skończyły. Żebym mogła iść do nowej szkoły, poznać nowych ludzi, może znaleźć przyjaciółki... takie jak wy.

Przytuliłyśmy ją obie, jak na komendę. A przecież wcale się nie umawiałyśmy. Nie porozumiałyśmy się nawet wzrokiem! Po prostu i mnie, i Zuzce zrobiło się nagle strasznie żal naszej kochanej, jasnowłosej poetki. Co ten ojciec jej robił, jak oni ją traktowali, w jakich warunkach musiała żyć na co dzień, skoro szkoła była dla niej wielkim wybawieniem?! To musi być przecież straszne, czekać przez całe wakacje na rozpoczęcie roku szkolnego!

- A ty co opiszesz? - Zuzka nie zamierzała mi darować.

I co miałam jej odpowiedzieć? Sama nie wiedziałam, o czym napisać. Zastanawiałam się nad tym od dwóch dni. Bo przecież najwspanialszym momentem moich wakacji był pocałunek w stajni. Nie taki prawdziwy... To był tylko moment, pocałunek w policzek... Bardzo, bardzo przelotny... No, ale mimo wszystko... Jedyny pocałunek w moim życiu. I słowa: „Jesteś czarodziejką". Nigdy ich nie zapomnę. Tak, to była chwila, którą powinnam opisać. Ale przecież tego nie zrobię. Wypracowanie czyta nauczycielka... Pewnie śmieje się z zabawnych fragmentów ze swoją rodziną... A potem może kazać mi przeczytać całość na środku klasy. W żadnym wypadku nie napiszę o Michale! Nigdy! Ale napiszę o czymś, co się z nim wiążę, co sprawiło, że nazwał mnie czarodziejką.

- Napiszę o tym, jak byłam na obozie jeździeckim i uratowałam malutkiego źrebaczka - powiedziałam, czując, że coś mnie ściska w gardle na samo wspomnienie. - Nikt nie wierzył, że on przeżyje. Był taki słabiutki. A jednak przeżył. Pozwolono mi nawet nadać mu imię. W nagrodę za to uratowanie. Nazywa się Kamyczek.

- Ślicznie - uśmiechnęła się Julka. - Tak pieszczotliwie... Musiałaś go bardzo pokochać.

- Pokochałam - przytaknęłam, niepewna, czy mówię o Kamyczku, czy o Michale. Ale chyba jednak o Kamyczku? O Michale myślałam od tamtej pory raptem ze trzy razy. A więc to nie mogła być prawdziwa miłość.

- Nic nam nie mówiłaś, że umiesz jeździć konno - powiedziała Zuzia, znów twardo stąpająca po ziemi, spostrzegawcza i energiczna. Całe szczęście, że miłość do Radka nie odebrała jej na stałe osobowości!

- Nie umiem - wyjaśniłam, choć brzmiało to idiotycznie. - Byłam na obozie jeździeckim, ale ani razu nie siedziałam w siodle. Zajmowałam się tylko Kamyczkiem.

- Opowiadaj! - zażądały stanowczo moje przyjaciółki. A więc opowiadałam. O Kamyczku, o Michale, i o tym przelotnym pocałunku na sianie, oko w oko z Kamyczkiem. I o tym, że on wcale się we mnie nie zakochał, niestety. Bo już w kołysce zakochał się w pani weterynarz. Całkiem dorosłej i całkiem niesympatycznej. Opowiedziałam im wszystko. O radości, kiedy uratowałam źrebaka i o rozczarowaniu, że Michałowi na mnie nie zależy. Bo w

końcu od czego ma się przyjaciółki? Właśnie od tego, żeby dzielić z nimi tajemnice!

ROZDZIAŁ 11
JESZCZE JEDEN GOŚĆ

A gdybyście miały opisać najsmutniejsze wakacyjne przeżycie? - zapytała Zuzia. - O czym byście pisały?

- Ja o wyjeździe Aśki do Niemiec - odpowiedziałam bez wahania. - Byłyśmy jak papużki - nierozłączki, płakałam przez trzy dni, kiedy dowiedziałam się, że się przeprowadza, że pewnie już jej nigdy nie zobaczę...

- Nie przesadzaj - Julka poklepała mnie pocieszająco po ramieniu. - Świat jest coraz mniejszy, kilka godzin w samolocie i jesteś na drugiej półkuli... Niemcy to przecież nie koniec świata.

- Niby nie - przyznałam. - Ale wtedy w ogóle sobie nie wyobrażałam życia po jej przeprowadzce. My nawet na wakacje zawsze jeździłyśmy razem, sprawiając rodzicom mnóstwo kłopotów. Mój tata chciał jechać nad morze, pływać, tata Aśki uwielbiał góry... A my, takie pyskate ośmiolatki, stałyśmy na środku pokoju i powtarzałyśmy jak nakręcone, że za nic nie damy się rozdzielić. No i kończyło się na tym, że jechaliśmy wszyscy razem nad jezioro. Żeby nikt nie był poszkodowany. Nasi rodzice nie mieli wyjścia, musieli się zaprzyjaźnić... Spędzałyśmy całe dnie razem, w weekendy zrywałyśmy się o siódmej rano, żeby mieć więcej czasu na gadanie.

I nagle mi to wszystko odebrano. Miałam wrażenie, że świat już nigdy nie będzie taki sam.

- Tęsknisz za nią? - zapytała Zuzia. A ja, sama zdumiona swoją odpowiedzią, pokręciłam przecząco głową.

- W czasie wakacji tęskniłam, i to strasznie. Codziennie oglądałam nasze wspólne zdjęcia. Mama wściekała się, bo zabierałam jej komórkę i godzinami SMS - owałam z Aśką. Ale potem... Potem poznałam was. I ona jakoś tak...

- Jakoś przestała się liczyć? - dokończyła Zuzka. Rety, to naprawdę nie brzmiało sympatycznie! Nagle zrobiło mi się strasznie, okropnie głupio. Obiecywałyśmy sobie z Aśką, że nic nas nie rozłączy. Kiedy pewnego dnia, chyba w drugiej klasie, obie skaleczyłyśmy się rozbitą szklanką, skorzystałyśmy z okazji i zrobiłyśmy sobie „braterstwo krwi". Skoro i tak tyle jej płynęło z mojego kciuka i jej palca wskazującego, trzeba to było wykorzystać. Połączyłyśmy rany, przysięgając sobie, że teraz już zawsze będziemy jak siostry. I co? I siedzę pod orzechem, na który wspinałam się z nią tyle razy i pod którym szeptałam jej do

ucha największe tajemnice... Siedzę tu bez niej i nawet nie potrafię za nią zatęsknić. Staram się, ale mi nie wychodzi. Bo mam Julkę i Zuzkę...

- Nawet twarzy Aśki nie umiem sobie przypomnieć - westchnęłam. - Wiem, jakie ma włosy i oczy, pamiętam jej zadarty nos i pieprzyk koło lewego kącika ust... Ale nie potrafię tego złożyć w jedną, sensowną całość. Wydaje mi się, że zaraz ją zobaczę, jeśli tylko troszkę się skupię... I nagle ta twarz mi umyka.

- Możesz przecież iść do swojego pokoju, spojrzeć na jej zdjęcie i wszystko sobie przypomnieć - powiedziała Zuzia, praktyczna jak zwykle.

- No jasne, że mogę - pokiwałam głową. - Ale to nie byłoby to samo. Ze zdjęcia to każdy potrafi! A ja powinnam pamiętać ją dokładnie bez takiej pomocy!

Przez chwilę siedziałyśmy w milczeniu. Julka głaskała mnie po ramieniu, Zuzia nuciła coś pod nosem. Postanowiłam przerwać tę ciszę. Niestety, nie miałam do powiedzenia nic wesołego.

- Chyba jestem okropna - oświadczyłam. - Jakaś pozbawiona uczuć. Myślałam, że Aśka będzie moją jedyną, najlepszą przyjaciółką, do końca życia... Myślałam, że zakochałam się w Michale... A teraz co? O niej myślałam z pięć razy od czasu rozpoczęcia roku szkolnego, o nim pewno ze trzy. Może ja nie umiem kochać? Może jakoś niepoważnie traktuję ludzi? Albo mam zaburzenia pamięci?

- Nie opowiadaj głupot - Zuzia wstała z krzesełka. - Pamięć masz dobrą, pamiętasz przecież wszystkie głupie dowcipy Radka, wszystkie łzy, które przez niego wylałaś... Ale nie rozmyślałaś o tym codziennie od ukończenia przedszkola. Dopiero kiedy go zobaczyłaś, wszystko ci się przypomniało. Z Aśką pewnie też tak będzie. Jak się znowu spotkacie, to nie będziecie się mogły nagadać, będziecie chichotać i szeptać całą noc. Ale póki jej tu nie ma... Przecież nie możesz przez dwadzieścia czy trzydzieści lat żyć w żałobie po utraconej przyjaźni! Życie nie znosi pustki, to taki mechanizm obronny. Jedni ludzie odchodzą, inni przychodzą, tak to już jest. Przez jakiś czas jesteśmy z kimś blisko, widujemy się codziennie... A potem już nie. Ale to nie znaczy, że go wyrzucamy z serca. Moja siostra wyprowadziła się z domu, spotykam się z nią może raz na tydzień... Na początku było mi smutno, ale teraz się przyzwyczaiłam. Tak jest i już.

- Ale tak nie powinno być! - czułam, że pod powiekami zbierają mi się łzy. - Ja chciałabym, żeby wszystko było na zawsze! I żeby czas nie zmieniał uczuć, nie sprawiał, że kochamy mniej.

- Gdyby było tak, jak mówisz, ludzie umieraliby z rozpaczy - Julka mówiła do mnie powoli, jak do rozkapryszonego przedszkolaka. - Jak żyłyby wdowy albo kobiety, które

straciły dziecko? Jak daliby sobie radę ludzie po wojnie? Wtedy każdy przecież kogoś tracił. Czas leczy rany i to jest najwspanialsze. Tylko dzięki temu można żyć dalej, bez względu na to, co nas spotyka.

Spojrzałam na nią z podziwem. Poetka, nieprzytomna, bujająca w chmurach... a tu nagle takie mądre rzeczy. Julka zaskoczyła nas po raz kolejny. Z pewnością nie ostatni...

Postanowiłam wykorzystać jej szczery nastrój.

- A ty o czym byś napisała, opisując najsmutniejszy dzień wakacji? - zapytałam.

I znowu - który to już raz? - nie udało mi się wyciągnąć z Julki żadnego zwierzenia. Znów nie dowiedziałam się, co robiła latem, nie usłyszałam ani słowa o jej rodzicach. Bo zanim jeszcze skończyłam zadawać pytanie, coś zaszeleściło w krzakach, tuż obok furtki. Czyżby Radek zdecydował się wrócić? A może tym razem pojawiły się prawdziwe dwumetrowe jeże mutanty?

- Żaba, tam ktoś jest! - pisnęła Julka, a Etna zaczęła szaleć i walić w szybę, domagając się, żeby wypuścić ją z domu. Wyraźnie miała ochotę rozszarpać nieproszonego gościa na kawałki. Przynajmniej wtedy, gdy była w środku. Bo w ogrodzie pewnie zaczęłaby, jak zwykle, łasić się przybyszowi do nóg. To jednak zdecydowanie nie jest pies obronny...

- Kurczę, kto to może być? O tej porze? - Zuzia spojrzała na zegarek. - Zaraz północ! Chyba ktoś całkiem zwariował.

Nikomu już nie otworzę, postanowiłam. Już raz to zrobiłam, i zupełnie niepotrzebnie. Tylko odżyły we mnie te okropne przedszkolne wspomnienia.

- Niech sobie stoi, ile chce, choćby do rana - powiedziałam zdecydowanie. - Nikogo nie wpuszczam. A jak się będzie dobijał, to wezwę policję. Już raz tu byli, trafią bez problemu.

- Bądźcie cicho - szepnęła Julka. - Udawajmy, że nas nie ma.

No i udawałyśmy. Chyba przez minutę. A może dwie? W całkowitej ciszy było słychać tylko trzaski strzelających z ogniska iskier, szum liści nad naszymi głowami i czyjś szloch. Szloch?! Wszystkie trzy usłyszałyśmy go chyba w tym samym momencie. I wszystkie jak na komendę podniosłyśmy się i pomału, starając się nie poruszyć najmniejszą nawet gałązką i nie zrobić najlżejszego choćby hałasu, posuwałyśmy się w stronę furtki. W słabym świetle latarni zobaczyłam drobną sylwetkę. Postać w spodniach, z długimi włosami... Radek? Nie, na Radka była stanowczo za niska i za drobna.

- To Emma! - zawołała Julka i rzuciła się do furtki. Emma! Nasza nowa rudowłosa koleżanka, dołączona przez Martę Mądrą do naszej grupy... do pisania z nami referatu... Ale co ona robi o tej porze pod moją furtką?! Przyspieszyłam, prawie zaczęłam biec, zupełnie

jakby Emma była ciężko ranna i potrzebowała natychmiastowej pomocy. A może potrzebowała? Po co by przyszła o tej porze, gdyby nie miała żadnego powodu? Bardzo poważnego powodu.

- Zapraszałyście mnie, więc jestem - powiedziała ze strasznie dziwnym akcentem.

- Zapraszałyśmy - przytaknęłam. - Oczywiście... Ale dlaczego jesteś tak późno? Minęła już jedenasta!

- Mogę wejść? - zapytała Emma, naciągając energicznie na oczy swój zielonkawo - beżowy kapelusik. Mogła go naciągać do woli, a i tak było widać, że płacze. I słychać...

- Co się stało? - zapytałam, przekręcając klucz w zamku i szeroko otwierając furtkę.

- Dlaczego płaczesz? - Zuzka przytuliła ją serdecznie i poprowadziła w ciemności, prosto do ogniska.

- Tak się boję! - łkała Emma. To sprawiało, że z trudem ją rozumiałyśmy. Ten jej akcent i płacz... - Tak strasznie! Mama pojechała do szpitala... Jeden twin... no, bliźniak... on bawił się na podwórku... spadł z drzewa... rozciął sobie... no tu, jak to się nazywa? Tu, na czole...

- Łuk brwiowy - podpowiedziała Zuzka.

- Łuk brwiowy, yes... A drugi biegł do niego na ratunek, i upadł... Pękł sobie nogę.

- Złamał - poprawiłam ją odruchowo.

- Złamał albo tylko zakręcił, pokaże zdjęcie.

- Skręcił - tym razem poprawiła ją Julka. - Trzeba zrobić rentgen, tak. On wykaże, co się stało.

- Mama pojechała z nimi, babcia też, a mnie zostawiły samego.

- Samą - Zuzka też wtrąciła się do tej gry w poprawianie. Ale przecież nie robiłyśmy tego złośliwie. Ona musi wiedzieć, jak się mówi poprawnie. Skoro ma chodzić do naszej klasy...

- Zostawiły mnie samą - powtórzyła Emma, nagle ze znacznie lepszym akcentem. - A ja w tym domu czuję się bardzo dziko.

- Nie mówi się „dziko” - podpowiedziałam jej, najżyczliwiej, jak umiałam.

- A jak się mówi? - zdziwiła się Emma. - Tam jest smutno i pusto, takie stare meble, ponure wszystko...

- Czułaś się źle, po prostu - powiedziała Julka. - Rozumiem cię bardzo dobrze, ja też często źle się czuję w swoim domu...

- To nie jest mój dom! - zdenerwowała się Emma. - To apartament babci. Apartament, nie dom. I wcale nie mój.

- Apartament? - przez chwilę wyobrażałam sobie wielki, luksusowy apartament jak z serialu. Szybko jednak przypomniałam sobie lekcję angielskiego. „Apartment” to przecież po angielsku mieszkanie. Zuzka chyba wpadła na to samo:

- Mieszkanie twojej babci, tak? - uśmiechnęła się.

- Mieszkanie, yes... Fiat. A co to jest, pożar? - zdenerwowała się Emma na widok ogniska. - Dlaczego to się pali? Trzeba wezwać... jak to się nazywa...

- Straż pożarną - podpowiedziałam domyślnie. - Nie trzeba. Straż już była. To właśnie strażak rozpalił nam ognisko. Bardzo, bardzo fachowo. W Anglii nie pali się ognisk? Nie piecze się kiełbasek?

- Piecze się, sure! - przytaknęła Emma energicznie. - Tata zawsze piecze. Całe lato. W weekend, z przyjaciółmi, to się nazywa barbecue.

- Grill - machnęła lekceważąco ręką Zuzka. - Grilla też miałyśmy, ale już zgasł. Ale ognisko jest lepsze. Zobacz, jak tu ciepło. Pieczemy właśnie ziemniaki w popiele, nie ma nic lepszego niż ziemniaki z ogniska.

Emma popatrzyła na nas jak na wariatki.

- Jak się upieką, to spróbujesz - uśmiechnęła się Zuzka, a potem wróciła do rozmowy o mieszkaniu. - Mieszkasz teraz u babci. Z braćmi, tak? Braćmi bliźniakami? I z rodzicami?

- Z mamą... na razie tylko z mamą - Emma znowu naciągnęła kapelusik na oczy. - I tak mi dziko... to znaczy smutno. W domu mam trzy koty, oni ze mną śpią.

- One - poprawiłyśmy ją chórem. A potem Julka zapytała niecierpliwie:

- Masz dom w Anglii? Na wrzosowiskach? W Yorkshire, tak jak w „Wichrowych wzgórzach”?

- W Londynie - odpowiedziała Emma, nieco zdziwiona. Nie wiedziała jeszcze, czego można się spodziewać po Julce! - Miałam tam koty i z nimi nigdy się nie bałam. Przychodziły do mnie do łóżka, tuliły się, mruwiały.

- Co robiły?! - oczy Zuzki zamieniły się ze zdumienia w wielkie ciemne spodki. - Mrówkowały?

- Mruczały - zgadłam. - Mruczały, miauczały, tak?

- Tak - uśmiechnęła się Emma, po raz pierwszy, od kiedy weszła do mojego ogrodu. Ale zaraz uśmiech zniknął z jej twarzy. - Tu, w tym bloku, w mieszkaniu babci, wszystko jest inaczej. Nie ma kota ani psa, za ścianą słychać jakieś głosy, na podwórku też. Tu jest okropnie. W Anglii jest inaczej. Wszystko, wszystko jest inaczej! Ja chcę do domu!

ROZDZIAŁ 12
TAKA EMMA JAK JA

Emma płakała i płakała i w ogóle nie mogłyśmy jej uspokoić. Wyciągałyśmy z niej wiadomości po kawałku i po upływie pół godziny wiedziałyśmy już całkiem sporo. Że miała, to znaczy ma, w tej Anglii śliczny dom. Że w ogrodzie rośnie mnóstwo drzew i raz w tygodniu przychodzi ogrodnik. I że mają kucharkę, która gotuje pyszny pudding. Emma nie umiała nam wyjaśnić dokładnie, co to jest pudding. Ale chyba nie mogło to być aż tak smaczne? Skoro robi się to ze starych, zeschłych skórek od chleba... Chyba że coś źle zrozumiałyśmy przez jej niedoskonały polski? Nie mogłyśmy też zrozumieć, czy mówi o Anglii w czasie przeszłym, czy teraźniejszym, ciągle jej się mieszały. Więc nie byłyśmy pewne, czy wyprowadziła się na trochę, czy na zawsze.

- Chciałam zabrać koty, ale nie można - łkała. - Musiałyby iść na to takie, no... Na kwarantanna. No i mieszkanie babci jest dla nich dużo za małe.

- O wiele za małe - poprawiłam ją odruchowo.

- A ten dom w Anglii, co się z nim stało? - zapytała Zuzka, bardzo konkretnie, jak to ona. Emma jednak zaczęła płakać jeszcze bardziej. Domyśliłyśmy się więc, że to nie najlepszy temat. Julka spróbowała z innej beczki:

- Ile lat mają twoi bracia?

Okazało się, że to właśnie odpowiedni temat, którego szukałyśmy. Emma nareszcie przestała łkać i zaczęła nam opowiadać o Robinie i Marku, swoich pięcioletnich braciach. Widać było, że ich uwielbia.

- Nie wiem, jak im będzie tu, w przedszkolu - martwiła się. - Oni nigdy nie są z obcymi, cały czas z mamą w domu, to znaczy jak są w Anglii.

- Jak byli w Anglii - poprawiłam, chociaż wcale nie byłam pewna, czy to właściwy trop. - Bo teraz są w Polsce i tu będą chodzić do przedszkola, tak? Czy wracają do Anglii?

- Nikt nie wraca - głos Emmy zadrżał niebezpiecznie, chyba znów uderzyłam w czułą strunę. Na szczęście Zuzka zareagowała błyskawicznie:

- Ziemniaki już są miękkie! Wyciągamy! Ostrożnie, żeby się nie poparzyć. Patykiem, o tak... I jeszcze jeden, tutaj... Emma, łap!

- Nigdy nie jadłam takie pyszne ziemniaki - powiedziała Emma, znowu uśmiechnięta. A ja zrezygnowałam z tłumaczenia jej, że powinna powiedzieć „takich pysznych ziemniaków”. Chyba na razie miała dość kłopotów i bez gramatyki języka polskiego...

- W Anglii się nie je pieczonych ziemniaków? - zapytała Julka.

- Je się, zawsze, to bardzo popularne... Na lunch, z tuńczykiem albo kukurydzą, albo serem... Bardzo, bardzo popularne, naprawdę. Ale nie z ogniska. Te z ogniska dużo lepsze!

- Też tak uważamy! - uśmiechnęłyśmy się wszystkie trzy.

- A twoja mama nie będzie się denerwowała, gdy wróci do domu i zobaczy, że cię nie ma? - zapytała nagle Zuzka.

- Zostawiłam kartkę, może zadzwonić, przecież mam mobile phone...

- Telefon komórkowy! - poprawiłyśmy ją chórem.

- Yes, komórkowy - Emma bardzo starała się powtarzać wszystko starannie, z idealnym akcentem. - Dostałam od taty na czternaste urodziny.

- Czternaste? - zdziwiłam się. - Chyba trzynaste? Mamy trzynaście lat.

- Ja mam czternaście - powiedziała Emma, a przez jej twarz przebiegł grymas, jakiś smutny i pełen złości.

- I chodzisz z nami do klasy? - zapytała Julka. - To chyba jakaś pomyłka.

- Nie pomyłka... Ja za mało umiem do drugiej... Próbowałam, ale mnie cofnęli, po tygodniu. Powiedzieli, że bym miała problemy.

No jasne, że by miała. Z tą polszczyzną! Ale jednak musiała czuć się idiotycznie. Z młodszymi o rok ludźmi, w obcym kraju...

- Kiedy przeprowadziłaś się do Anglii? - zapytałam. - Chyba musiałaś być wtedy bardzo mała?

- Urodziłam się w Anglii - powiedziała strasznie smutnym głosem. I znów zaczęła płakać. Dosłownie zanosiła się od płaczu, chyba przez pięć minut.

- Ona ma smutek w sercu, ma mroczną tajemnicę, mówiłam wam - szepnęła Julka, ale Emma ją usłyszała.

- To nie jest żadna tajemnica! - zdenerwowała się. - Nie mam żadnych tajemnic! Mogę wam wszystko opowiedzieć!

No i opowiedziała. O mamie, która wyjechała do Anglii na wakacje rok przed maturą, - Dziadek miał tam znajomych, mama mieszkała u nich i chodziła do szkoły językowej - mówiła szybko, połykając sylaby. - Miała zdawać na anglistykę. Ale poznała mojego tatę... Zaszła w ciążę... No i już nie wróciła do Polski.

Potem opowiadała nam o tacie. Jeszcze szybciej i nieskładniej. Jemu ani ciąża mamy Emmy, ani ślub, ani małe dziecko, nie przeszkodziły w studiach.

- Skończył architekturę - powiedziała. - Ale miał pracownię... takie studio, rysował nie domy, tylko reklamy. I dobrze mu szło. A mama mu pomagała. Bujała nogą wózek, tak

zawsze mówiła, bujała wózek i rysowała. Mnóstwo reklam to jej pomysły. Najlepsze reklamy taty są jej, tylko nikt o tym nie wie.

Potem, pięć lat temu, urodzili się Robin i Mark. Wtedy mama miała mniej czasu. I mniej rysowała. Tata Emmy denerwował się, że jest leniwa, że mu nie pomaga. Krzyczał.

- Strasznie krzyczał - Emma ukryła twarz w dłoniach, a jej plecami wstrząsnął szloch. Bałam się, że znowu się rozklei.

- Nie opowiadaj, nie musisz - powiedziałam. - Wiemy już dość.

- Chcę opowiedzieć wam wszystko. Wszystko, do końca - powiedziała, ocierając wielką, płynącą po policzku łzę. - Komuś muszę opowiedzieć, bo zwariowałam.

Powinna powiedzieć „bo zwariuję". Czas przyszły, nie przeszły! Ugryzłam się jednak w język i nie powiedziałam ani słowa. To na pewno nie był odpowiedni moment, żeby ją poprawiać.

Opowiadała więc dalej, mieszając czasy i połykając sylaby. Żadna z nas nie próbowała jej tłumaczyć, że robi błędy. Na naukę poprawnej polszczyzny przyjdzie czas kiedy indziej.

Mówiła o tym, jak firmie taty powodziło się coraz gorzej. Bo bez świetnych pomysłów mamy nie umiał przyciągnąć klientów. Emma powiedziała co prawda „przykleić klientów", ale domyśliłyśmy się, o co chodzi. O przyciągnięcie albo utrzymanie...

- Mama mu mówiła „Zajmij się twins, a ja będę rysować" - łkała Emma. - Ale on nie chciał. Powiedział, że zmienianie pieluch to nie dla niego. I że to ona chciała mieć drugie dziecko, a nie on... Krzyczał coraz bardziej, a mama nie potrafi rysować, jak jest smutna.

W końcu zrobiło się jeszcze gorzej. Tata zaczął pić i dwa tygodnie temu uderzył mamę.

- Wtedy mama wszystko zapakowała - Emma połknęła wielką łzę, wyprostowała się i mówiła dalej. - Całą noc pakowała, rano zadzwoniła do babci i zabrała nas na lotnisko. Kupiła bilety za pieniądze taty. Powiedziała, że nic od niego nie chce, tylko tych bilety. No i przyjechaliśmy do babci. Mama, ja i twins. Znaczy bliźniaki.

Z tego, co usłyszałyśmy, wynikało, że u babci nie było najlepiej. Po pierwsze, ciasno. Mama i babcia mieszkały w jednym pokoju, a Emma i chłopcy w drugim, malutkim.

- Muszę siedzieć cicho od ósmej wieczorem, bo oni idą spać - zacisnęła wargi Emma.

A potem wyjęła z kieszeni komórkę i zadzwoniła do mamy. Domyśliłyśmy się, bo mówiła do niej „mummy". Rozmawiały po angielsku. Bardzo, bardzo szybko. Uczę się tego języka siódmy rok, a prawie nic nie zrozumiałam. Tylko że mówiła coś o chłopcach. Pewnie chodziło o bliźniaki. Chyba nie stało się im nic poważnego, Emma była wyraźnie zadowolona z wiadomości, które usłyszała. A na końcu powtórzyła kilka razy słowo „friends", czyli

koleżanki.

- Mama pyta, czy zostaję tu na noc - Emma oderwała się na moment od telefonu i przesłała nam błagalne spojrzenie. Zwłaszcza mnie - byłam przecież gospodynią. Pokiwałam energicznie głową. Zuzka i Julka też. Emma, rozpromieniona, przekazała mamie naszą decyzję, przesłała buziaki (to zrozumiałam!), a potem rozłączyła się i wróciła do ogniska.

- Mama zdziwiła się, że do ciebie trafiłam - uśmiechnęła się szeroko.

- Ja też się zdziwiłam - przyznałam. - Przecież wyrzuciłaś mapę, którą ci narysowałam.

- Nie wyrzuciłam - Emma wyciągnęła z kieszeni rudoczerwonego, ślicznego swetra wymiętą kartkę. - Zgniotłam ją i wepycham do torby.

- Wepchnęłam - Zuzka odważyła się ją poprawić. Zwierzenia na temat rodziców chyba już się skończyły?

- Wepchnęłam - powtórzyła Emma starannie. - Nie chciałam przyjeżdżać. Nie chciałam chodzić do klasy z młodszymi... Ale kiedy zostałam sama w domu i było mi tak dziko... to znaczy tak smutno... I zrozumiałam, że i tak jestem w tej klasie i już, czy chcę, czy nie chcę... No to pomyślałam, że lepiej się z wami zaprzyjaźnić, niż siedzieć w domu i płakać. Jeśli wy chcecie się przyjaźnić z taka Emma jak ja...

- Chcemy! - roześmiałyśmy się zgodnie. - Taka Emma jak ty to przecież naprawdę fajna Emma.

ROZDZIAŁ 13
CZWARTY MUSZKIETER

Wypytywałyśmy ją nad dogasającym ogniskiem, jak jest w angielskiej szkole. Nic dziwnego, że wcale się jej nie podobały przenosiny do naszego gimnazjum! W Anglii jest o wiele fajniej. W wieku czternastu lat wybiera się przedmioty, które się będzie zgłębiać przez dwa lata.

- Obowiązkowe są angielski i matematyka - wyjaśniała Emma. - Ale resztę, kilka przedmiotów, siedem lub osiem, z kilku kategorii, wybierasz sam. Sama... Ja właśnie wybrałam, akurat przed moving... przed przeprowadzką do Polski. Wybrałam takie fajne przedmioty... I nic! Nawet nie byłam na pierwszych lekcjach! A teraz, w tym cholernym gimnazjum, nic nie można wybrać! I nie ma wcale takich fajnych przedmiotów jak w Anglii! I muszę chodzić o rok niżej.

Te „fajne przedmioty" to były m.in. opieka nad dzieckiem, historia sztuki i rysunek techniczny. Opieka nad dzieckiem? W gimnazjum? Rety, po co komu taki przedmiot? Na pewno jednak lepszy od chemii i fizyki.

- A w historii sztuki i rysunku technicznym miał mi pomagać tata - przez twarz Emmy znów przebiegł ponury grymas. - I jeszcze wybrałam śpiew. Mój ukochany śpiew.

A więc Emma śpiewa! Gdyby nie to, że minęła już północ i że nasi sąsiedzi, w przeciwieństwie do babci nie sypiają z zatyczkami w uszach, poprosiłybyśmy ją natychmiast, żeby nam coś zaśpiewała. Po angielsku, oczywiście. No ale cóż, śpiew musiał poczekać do jutra...

- A miałaś przyjaciółkę, taką od serca? - zapytała Julka. A Emma, po chwili namysłu, pokręciła głową.

- Miałam dużo koleżanki... koleżanek, tak? - poprawiła się sama! To już był postęp! - Bardzo dużo, bardzo fajne... Ale taka jedna, prawdziwa, której można powiedzieć wszystko i zawsze... Taka jedna to nie.

- My też trzy tygodnie temu nie miałyśmy - uśmiechnęła się Zuzka. - I wszystkie marzyłyśmy o tym, żeby w nowej szkole znaleźć kogoś od serca, komu można powiedzieć wszystko. No i znalazłyśmy. I... Dziewczyny, jak myślicie?

- Zgoda - powiedziałam, odgadując od razu, co chodzi jej po głowie.

- Jasne, że zgoda! - przytaknęła Julka. A Zuzia zaczęła powoli:

- Zaprzyjaźniłyśmy się, we trzy, już pierwszego dnia. A raczej pierwszej nocy, kiedy

ulewa zatrzymała nas u mnie w domu. Okazało się, że Julka i Żaba całe życie marzyły o siostrze. A ja miałam siostrę, ale dużo starszą i strasznie postrzeloną... I wcale nie mogłam mówić jej o wszystkim, zwierzyć się ze swoich smutków, marzeń... Więc założyłyśmy Sekretne Siostrzane Bractwo Zet. Na znak naszej przyjaźni.

- Bractwo Zet? - zmarszczyła brwi Emma.

- Z powodu naszych nazwisk - wyjaśniłam. - Zuzia Zawadzka, Julka Ździebełko, Kaśka Żabniak. Z, Ź, Ż.

Stąd nazwa. Obiecałyśmy sobie, że nie będziemy miały przed sobą tajemnic. Że będziemy sobie zawsze pomagać i przyjaźnić się, zawsze i bez względu na wszystko.

- Fajnie - westchnęła Emma. - Jak w filmie.

- Fajnie - przytaknęła Julka. - Naprawdę jest fajnie. Przedtem miałam tylko pamiętnik... swojego Tobiaszka, bo tak go nazywałam. Jemu powierzałam wszystkie sekrety. A teraz mam dwie cudowne przyjaciółki. A mogę mieć trzy... Jeśli się zgodzisz.

- Ja? - Emma uniosła się na krzesełku, zdumiona i chyba niepewna, czy dobrze rozumie po polsku.

- Wiesz, Marta Mądra, nasza wychowawczyni, dołączyła cię do naszej grupy - znowu zaczęłam wyjaśniać. - Piszemy razem referat, o kraju na literę Z... Niewiele napisałyśmy, kiepsko nam idzie. No, ale przynajmniej zdecydowałyśmy już, że to będzie Zambia. Wiesz coś o Zambii? Bo będziesz pisać z nami. A nam się to pisanie często przeciąga. Tak jak dziś, nawet do rana. Czasami nawet bez pisania... Tylko z ziemniakami z ogniska. Ale lepiej chyba pisać z przyjaciółką niż z kimś przypadkowym, prawda? Z ledwie znaną koleżanką z klasy.

- Pewnie, że lepiej - wtrąciła Zuzia. - Na początku, prawdę mówiąc, nie miałyśmy pewności, czy będziesz do nas pasować. Byłaś taka... taka nabzdyczona.

- Nabzdyczona? - powtórzyła powoli Emma. - Mama chyba nie używa tego słowa...

- Pewnie nie używa, bo to nie jest normalne słowo, rzadko się tak mówi - roześmiałam się. - Chodzi o osobę naburmuszoną... No wiesz, nieprzystępną, chmurną... Taką, która ma wszystkim coś za złe.

- Taką jak ja dzisiaj w szkole? - Emma nareszcie zdjęła kapelusik i pokazała nam swoje zielone oczy.

Ku mojemu zdziwieniu i ogromnej uldze, wcale nie były pełne rozpaczy i gniewu na świat. - Yes, byłam trochę taka... jak to było? Nabzuczona?

- Nabzdyczona! - po prostu nie mogłam się powstrzymać od śmiechu.

- Byłam nabzdyczona, bo nie podobała mi się ta szkoła i byłam zła, że nie pozwalają mi chodzić do drugiej klasy. Byłam pewna, że to będzie okropne i nikt mnie nie polubi.

- My cię lubimy - uśmiechnęła się Zuzka.

- Bardzo cię lubimy - przytaknęła Julka. - Naprawdę!

- Nie uważacie, że jestem trochę dziwna? Inna niż wy? - zapytała Emma.

- Każdy jest trochę inny i trochę dziwny - powiedziałam. - Każda z nas. Julka jest poetką, ja lekkoatletką, Zuzka fotografem.

- Żaden ze mnie fotograf, nawet nie wzięłam dziś aparatu - zdenerwowała się Zuzia. - A takie byłyby fajne zdjęcia! Przy tym ogniu i pod orzechem, i ze strażakami...

- Inność jest naszą wielką siłą, odmienność jest piękna, trzeba ją pielęgnować - uzupełniła Julka, wpadając w swój ulubiony ton. - A twoja inność jest bardzo, bardzo fajna.

- Chcemy cię przyjąć do Bractwa Zet - powiedziała Zuzia krótko i konkretnie. - Nie będziemy trzy, lecz cztery. Chcesz?

- Oczywiście, że chcę! - rozpromieniła się Emma. - Co trzeba zrobić, żeby być Zet?

- Nic... powiedzieć, że chcesz, i już - uśmiechnęłam się. - Nie ma ceremonii, żadnej przysięgi. Możemy uznać, że twoją ceremonią było zjedzenie ziemniaka z ogniska. Pierwszego w twoim życiu. Zjadłaś, więc jesteś przyjęta.

- Ale... ale jest problem - spuściła głowę nasza nowa półangielska członkini. - Ja nie mam nazwiska na literę Z, Ż lub Ź. Więc chyba nie mogę być z wami w bractwie. Za rok będę na początku listy w dzienniku, a nie koło was. Tak powiedziała ta Marta Sprytna.

- Marta Mądra - roześmiałyśmy się wszystkie. A potem zapadła chwila ciszy, dość chyba niezręczna. Bo faktycznie, czy ktoś bez nazwiska na Z może być Zet?

- Mam pomysł - ucieszyła się nagle Zuzka. - Mam świetny pomysł! Zmienimy Bractwo Zet na Zeta. I już. Dodamy literę A i będziemy w nim my z końca alfabetu i ty z początku. Zgoda?

- Super - uśmiechnęła się niepewnie Emma. - Jeśli wy trzy...

- My jesteśmy zachwycone - zapewniłam ją i podałam jej rękę. Julka, wyjątkowo bez słowa, położyła swoją dłoń na naszych. Po chwili na samą górę opadła najmniejsza, najciemniejsza i najbardziej pulchna rączka Zuzi. A więc byłyśmy cztery. Trzej muszkieterowie i jeszcze jeden... Dodatkowy, a najważniejszy. Czyżby Emma miała się okazać takim właśnie d'Artagnanem? Naszą największą siłą?

- Jeden za wszystkich, wszyscy za jednego - powiedziała Zuzka, odgadując moje myśli. Już się nawet nie zdziwiłam, przecież i ona, i Julka ciągle to robiły. Ciekawe, czy Emma też niebawem zacznie czytać z mojej głowy jak z otwartej książki?

- Wiecie, że przyjaciele, tacy prawdziwi, podobno umą... umią... umieją... umieją odgadywać nawzajem swoje myśli?

- Wiemy! - zawołałyśmy wszystkie trzy i roześmiałyśmy się głośno.

ROZDZIAŁ 14
SEKRET JULKI

Była pierwsza w nocy, kiedy w końcu zalałyśmy ognisko wodą, bardzo dokładnie, jak radzili strażacy, i poszłyśmy na strych.

- Ale tu super! - Emma rozejrzała się zafascynowana po pełnym zakamarków pomieszczeniu.

Wyglądało teraz o wiele bardziej niesamowicie niż w dzień. Oświetlała je jedna słaba żarówka. Nic dziwnego, że w każdym kącie kładły się dziwaczne, złowrogie cienie. Aż przeszedł mnie dreszcz! Starałam się nie wspominać spotkania z duchem, sprzed prawie dwóch lat, i miałam nadzieję, że Zuzia i Julka nie przypomną sobie, że o nim mówiłam, kiedy przyszłyśmy ze szkoły. Choćby błagały mnie na kolanach, nie opowiem im nawet kawałeczka, samego początku... Nawet jednego zdania! Chyba umarłabym ze strachu, gdybym zaczęła o tym teraz mówić.

- Fajnie, że wróciliście do Polski - uśmiechnęła się Julka do Emmy i pogładziła jej długie, rude włosy.

- Ja nie wróciłam, ja przyjechałam - sprostowała pół - Angielka stanowczo.

- Nigdy przedtem nie odwiedzałaś babci? - zdziwiła się Zuzka.

- Raz. Byliśmy na Gwiazdkę, i na Sylwestra - przez twarz Emmy znowu przebiegł cień, a ja już wiedziałam, że to nie jest dobry temat. Ale było za późno. - Tata nie lubi babci... i Polski... Nie chciał tu przyjeżdżać. Mama kilka razy była sama, ale ja i boys nie.

- Czyli dla ciebie to nie jest powrót - powiedziałam. - To początek zupełnie nowego życia.

- Myślałam, że będzie okropnie - przyznała Emma. - W drugiej klasie, tam, gdzie zaczęłam chodzić, wszyscy się śmiali, że dziko mówię. Codziennie płakałam.

- Dziwnie, nie dziko - poprawiłam ją. - Tylko idioci mogą się śmiać z czegoś takiego. Oni nie znają angielskiego nawet w jednej setnej tak, jak ty. Śmiali się, bo zazdrościli, że jesteś z Anglii. Że znasz język i masz fajne ciuchy.

- Niedługo z nich wyrosnę - westchnęła Emma.

- I co z tego? - nie rozumiałam. - Każdy wyrasta. Kupisz sobie nowe. U nas jest naprawdę mnóstwo fajnych sklepów. Może mniej niż w Londynie, ale na pewno znajdziesz coś, co polubisz. Na pewno...

- Nie wiem, czy będzie mnie stać nawet na guziki i gumki do włosów - spuściła wzrok

Emma. - Mama szuka pracy, ale nie wiem, czy znajduje... Czy znajdzie. Myślała, że będzie jej łatwiej, kiedy jechałyśmy. Zna angielski, naprawdę mówi jak Angielka... Ale to nic tu nie znaczy. Już nie znaczy.

- Jak twoja mama wyjeżdżała do Anglii, przed maturą, to niewiele osób znało dobrze obce języki - przytaknęła Zuzka. - Wtedy to wystarczało, żeby znaleźć świetną pracę. Ale teraz trzeba mieć wykształcenie i doświadczenie... A czasami to i tak za mało. Wiem coś o tym, mój tata ciągle ma problemy...

- Mama nie ma nawet matury - westchnęła Emma. - Nikt nie chce jej przyjąć.

- Na pewno coś znajdzie - przytuliłam ją tak, jak przytulała mnie babcia, kiedy miałam kłopoty. - Przecież ma duże doświadczenie. Tyle lat w dobrej agencji reklamowej w Londynie to jest coś.

- Ona nie ma... nie ma taki dokument... żaden dokument...

- Nie ma świadectwa pracy? - zgadłam. - Ale ma swoje rysunki, tak? Mówiłaś, że rysowała.

- Ale tata się podpisywał, że to wszystko jego - Emma chyba już nie lubiła swojego ojca. - Ona była w domu jak więzień, nigdzie prawie nie chodziła, tylko rysowała dla niego. Ale nigdy nie była napisana, że jest autor.

- Nie podpisał jej jako autorki - nasza lekcja polskiego rozwijała się mimochodem całkiem nieźle. - No, to jest załatwiona... Nie udowodni, że coś w Anglii robiła! A kto zatrudni kobietę bez matury i bez jakiegokolwiek doświadczenia?

- Mama też mówi, że nikt - pokiwała głową Emma, zaciskając usta. - Ale się nie poddaje. Jest taka... taka...

- Taka dzielna - podsunęłam. - Ale przecież twój tata ma firmę, dobrze zarabia. Chyba będzie wam płacił wysokie alimenty?

- Mama powiedziała, że nic od niego nie chce, że poradzi sobie sama - Emma najwyraźniej nie była zachwycona tym, że pani Adams uniosła się honorem.

- No to witamy w klubie niezamożnych - uśmiechnęła się Zuzia. - Żadnej z nas nie powodzi się zbyt dobrze. Moja mama jest nauczycielką, tata aktorem sprzedającym ubezpieczenia, z reguły bez powodzenia. Mama Żaby ma gabinet weterynaryjny po drugiej stronie domu, ale często lituje się i leczy zwierzęta za darmo, jak doktor Dolittle. A jej tata...

- No ale rodzice Julki nie są biedni - przerwała nam Emma w pół zdania. Czy coś się zmieniło w tym tygodniu na liście najbogatszych Polaków?

- Słucham?! - miałam wrażenie, że tym razem to ja przestałam rozumieć po polsku. - Rodzice Julki...

- Rodzice Julki są ubodzy - powiedziała Zuzia zdecydowanie. - Prawda, Julka? No powiedz, jesteś przecież najuboższa z nas wszystkich! Nie stać cię nawet na porządne buty!

- Julia Ździebełko - powiedziała Emma powoli. - Widziałam twoje foto... zdjęcie. Mój tata robił kampanię reklamową dla firmy twojego taty. Dużą kampanię, rok temu. Poznali się w Milano, polubili...

- W Mediolanie - poprawiłam ją odruchowo, chociaż nie miało to w tej chwili najmniejszego znaczenia.

- W Mediolanie, sure... Poznał twojego tatę i podpisali kontrakt na kampanię. Potem pan Ździebełko przysłał nam zdjęcia i artykuły z newspapers... z gazet. Byłaś na zdjęciach. Było napisane: „Właściciele firmy i ich dziedziczka, córka Julia".

- Nie jestem dziedziczką! Nie chcę tej całej firmy! W ogóle nic od nich nie chcę! - wybuchła Julka.

- Twoi rodzice mają firmę? - zapytałam, pewna, że zaszła jakaś kosmiczna pomyłka.

- Zamawiali kampanię reklamową w agencji w Londynie? Byli w Mediolanie? - dopytywała się Zuzka.

- Nie wiedziałyście? - zdziwiła się Emma. - Przyjaciółki bez tajemnic i nie wiedziałyście?

- Nie wiedziałyśmy - potwierdziłam ponuro, zła na Julkę.

Jak mogła nas oszukiwać tyle czasu? Jak mogła udawać biedną? Myślałyśmy, że nie zaprasza nas do siebie, bo mieszka w kawalerce albo w piwnicznej izbie z pięciorgiem rodzeństwa. A ona po prostu nie chciała nas zabrać do swojego pałacu królewskiego! Dziedziczka fortuny!

- Jakoś nie było okazji, żeby wam powiedzieć... Zresztą, nie chciałam, żebyście myślały, że uważam się za lepszą... - tłumaczyła Julka, czerwona jak burak.

- Nie było okazji?! - nie zamierzałam jej tego darować. - Widzimy się codziennie w szkole, przez sześć albo siedem godzin, potem idziemy na pizzę albo do Zuzki, albo do kina. Naprawdę nie było ani jednej okazji?

- A jaka to firma? - zapytała konkretna Zuzia.

- Wy naprawdę nic nie wiecie! - Emma nie mogła w to uwierzyć. - Przecież to wy mieszkacie w Polsce, nie ja. Znaczy, ja teraz też, ale wy cały czas, od urodzenia... Przecież oni są wszędzie. W telewizji, w gazetach, na liście stu najbogatszych Polaków. Ździebełko - naprawdę nic wam to nie powiedzie?

- Naprawdę nic wam to nie mówi? Tak trzeba było powiedzieć - znów poprawiłam ją odruchowo, myśląc zupełnie o czymś innym. I nagle zaskoczyłam. - Pralnie Ździebełko? Te

pralnie na każdym rogu, w każdym mieście? „Ździebełko taniej i ździebełko lepiej niż inni”? To wy?

- To hasło mojej mamy - powiedziała Emma, wyraźnie dumna. - Nie tylko rysuje, ale i wymyśla hasła. Niektóre naprawdę super.

Super, to fakt... W tej chwili jednak nie byłam w nastroju, żeby chwalić pomysłowość pani Adams. Obchodziło mnie tylko moje odkrycie. Julka Ździebełko!

Romantyczna poetka dziedziczką ogólnopolskiej sieci pralni! Ale numer!

- Nienawidzę tych pralni! - Julka wybuchła. Tak długo to ukrywała. A teraz, kiedy wszystkie już znałyśmy jej tajemnicę, wykrzyczała swoje uczucia. - Wiecie, jak to jest, spędzić dzieciństwo w oparach proszku do prania? Słuchać w kółko dyskusji o najlepszych maszynach, najlepszych suszarkach, jeździć w weekendy, żeby oglądać budynki na, jak to nazywają rodzice, „nowe lokalizacje”? Nie miałam nigdy porządnych wakacji. Nic, tylko targi środków czystości. Targi przemysłu pralniczego. Wizyty u kontrahentów. Albo w agencjach reklamowych. A wieczorami, przy kolacji, jeśli rodzice cudem wrócili przed północą, liczenie budżetu zamiast kołysanki. Myślicie, że to zabawne?

- Mówiłaś, że oni w ogóle się tobą nie interesują - powiedziałam oszołomiona, nie całkiem na temat. - To prawda?

- Nie zauważyliby nawet, gdybym przyprowadziła się do domu kangura i zamieszkała z nim w jednym pokoju - Julka była strasznie rozgoryczona. I chyba zadowolona, że nareszcie może o tym porozmawiać. - Oni w ogóle nie zwracają na mnie uwagi. Gdy byłam mała, miałam niańkę. Nie nazywaną niańką, bo to nieelegancko, tylko boną. Nie znosiłam jej z całego serca. Napisałam o niej pierwszy wierszyk w życiu. Brzmiał tak:

Skrzywiona
Moja bona
Rozeźlona
Wkurzona
Błagam los jak szalona
Niech ta bona skona
Niech ją trafi błyskawica
Albo pożre ośmiornica

Nie był zbyt dobry ani zbyt długi... Ani elegancki... Ale odzwierciedlał moje uczucia do tego babsztyla. Kazała mi zjadać kożuchy z mleka. Macie pojęcie? Sama wypijała gorące mleko, a mi dawała kożuchy. I mówiła, że to zdrowe dla dzieci. Raz nawet poskarżyłam się mamie, ale ta uznała, że coś wymyślam. Powiedziała, że mam bujną wyobraźnię.

- Bo masz - uśmiechnęłam się, czując, że cała złość na Julkę nagle mi minęła. - Coś ta twoja mama jednak o tobie wie, coś zauważyła, mimo że rzadko cię widuje.

- Wiedziała to od bony, której usiłowałam opowiadać bajki - machnęła ręką Julka. - Skoro ona nie chciała mi nic opowiadać... Na szczęście, kiedy poszłam do szkoły, bonę zamieniono na guwernantkę. Czyli kobietę, która odbierała mnie ze szkoły i odrabiała ze mną lekcje. O niej też napisałam wiersz. Miałam wtedy siedem albo osiem lat:

Guwernantka, co za słowo
Brzmi naprawdę odlotowo
Ale znaczy tylko tyle
Że po szkole spędzam chwile
Nudne z moją guwernantką
Która bawi mnie czytanką
I namawia, bym liczyła
Ile metrów mieści mila
I pomaga w geografii
Chociaż sama nie potrafi
Wskazać na mej mapie Odry
Woli stroić się na podryw

Tak właśnie było, serio. Umawiała się z facetami pod naszym domem i wychodziła, niby na chwilę, zostawiając mnie nad zeszytami. Kiedy wracała, spałam na podręczniku.

- A teraz? Teraz chyba już nikt się tobą nie zajmuje, żadna bona ani guwernantka? - wolałam sobie nie wyobrażać, jaki wiersz napisałaby Julka o kolejnej opiekunce.

- Nikt, na szczęście - westchnęła moja niespodziewanie bogata przyjaciółka z wyraźną ulgą. - Nikt, tylko dwie, a teraz już trzy członkinie Sekretnego Siostrzanego Bractwa Zet... to znaczy Zeta, przepraszam! Przy nich nic mi już nie zagraża. No, i napisałam już o nich wiersze.

- O mnie nie! - pisnęła Emma, układając śpiwór, który jej dałam, na samym końcu mojego ogromnego materaca.

- To zaraz o tobie napiszę - uśmiechnęła się Julka. - Daj mi dwie minuty. Idź umyć zęby, a ja w tym czasie napiszę, zgoda?

- Zgoda - pokiwała głową Emma i z maleńkiego plecaczka wyjęła przedmiot, który wyglądem przypominał naparstek.

- Co to jest? - zapytałam.

- Składana szczoteczka do zębów - Emma była chyba zdumiona, że nie mamy takich

samych. - Zawsze mam ją w bag... w torebce. O tu, w... w... wiem, w futerale! Tutaj jest jeszcze miejsce na jednorazową pastę do zębów.

- Z takimi saszetkami z pastą chyba będziesz musiała się w Polsce pożegnać, nigdy nie widziałam w sklepie nic w tym stylu - powiedziała Zuzka. - Ale szczoteczka czad, naprawdę. Można ją nosić codziennie, choćby w kieszeni kurtki. I w razie gdyby przyszło nam do głowy znowu nocować u którejś z nas, byłybyśmy przygotowane... Ktoś wreszcie powinien zacząć produkować takie szczoteczki w Polsce!

Ketashi

ROZDZIAŁ 15
A CO ZE SZCZOTECZKĄ?!

Jak tam mój wiersz? Gotowy? - zapytała Emma, wracając ze swoją odlotową składaną szczoteczką z łazienki. - Pewnie, że gotowy - uśmiechnęła się Julka, odrywając pióro od kartki w swoim Tobiaszku. - Nie najlepszy, chyba trochę już mi się chce spać. No, ale jest i do jutra musi wystarczyć. Jutro napiszę ci lepszy.

Emma z Anglii przyjechała
W piękne szaty się odziała
Zazdrość w Polkach tylko budzi
Gdy uśmiecha się do ludzi
Rzędem równych zębów białych
Super szczotką szorowanych
Choć na zet się nie nazywa
W Bractwie Zeta jest szczęśliwa
Przyjaciółki trzy spotkała
Polskę na swój dom wybrała
Żeby noc tę spędzić z nami
Tu u Żaby, pod gwiazdami
A niebawem, kto to wie,
Może tu zakocha się
Może w chłopcu z naszej klasy
Tym co nosi bluzę w pasy

- Bluzę w pasy? - roześmiała się Emma niepewnie. - Jest taki?

- Jest, największy przystojniak w I a - przytaknęłam. - Mateusz. Ma taką bluzę, chodzi w niej prawie cały czas i faktycznie wygląda w niej jak bramkarz z drużyny hokeja. Kanadyjskiej! Nikt nie ma takich barów jak Mateusz. Mógłby cię unieść jak piórko pod sufit.

- Wolałabym kogoś mądrego, nie takiego mięsacza...

- Mięśniaka - poprawiłam ją, usiłując nie śmiać się za głośno. Babci i tak nie obudzę, ale Etna zacznie ujadać, obudzi sąsiadów...

- Mateusz ma nie tylko mięśnie, ale i mózg - Zuzka zatrzymała się w połowie drogi do łazienki, ze szczoteczką do zębów i ręcznikiem w dłoni. - I to jest w nim najlepsze. Jest super z matmy i fizyki... Czasami myślę, że jest nawet lepszy od mojej mamy...

- No, chyba trochę przesadziłaś, poskarżę się pani Zawadzkiej, na pewno nie będzie zachwycona - roześmiałam się, strzelając w nią z prześcieradła. - Idź już, myj te zęby, bo znowu nie położymy się przed świtem.

- Znowu? - zapytała Emma.

I oczywiście musiałyśmy jej z Julką wszystko opowiedzieć o szalonej nocy po rozpoczęciu roku szkolnego. O łapaniu przestępców, poszukiwaniu psa w strugach deszczu i udanej operacji, i o zapiekance, którą zrobiłyśmy niemal z niczego, dzięki Julce. Wtedy myślałam, że ona jest bardzo uboga i dlatego ma praktykę w przygotowywaniu dań z resztek. Teraz już wiedziałam, że to nieprawda.

Spojrzałam na nią uważnie, i nagle wszystko zaczęło się zgadzać. Wszystko, co mówiła, nawet dziś... Na początku, jak usiłowałyśmy jakoś skłonić te węgielki do współpracy, Zuzia powiedziała wyraźnie, że nie ma domu z ogrodem i nie rozpalała nigdy grilla. A Julka tylko, że ona też nie rozpalała. Ale ani słowa o tym, że nie ma ani domu, ani tarasu, ani ogrodu. No bo ma! Nigdy nie mówiła też, że jej rodzice są biedni. To ja sama wymyśliłam tę piwniczną izbę, mamę szyjącą po nocach w blasku świeczki, ojca pracującego w jakiejś fabryce albo na wysypisku śmieci. Ona nic takiego nigdy nie sugerowała. Powiedziała tylko, że rodzice chyba nie wiedzą nawet, że została trzy lata temu wegetarianką. Nie wiedzą, bo nie mają dla niej czasu, no jasne. A te buty... Sama to odgadłam, a Julka potwierdziła. Ona po prostu nie chce nosić butów ze skóry. Bo skóra, według niej, oznacza cierpienie zwierząt, podobnie jak mięso. Więc wyszukuje takie dziwadła ze sznurka, z plastiku... Czasami robi nawet na zamówienie, u pewnej starej hippiski, córki szewca, którą znalazła z jakiegoś ogłoszenia w piśmie dla wegetarian... Nic dziwnego, że to wygląda trochę niecodziennie. Jej rodzice na pewno nie są zachwyceni tym, jak się ubiera. Dziedziczka fortuny! Ludzie z listy stu najbogatszych Polaków! Bona, guwernantka... To wszystko nie mieściło mi się w głowie. Teraz pewnie też mają jakąś pomoc domową albo przynajmniej kucharkę, która czeka na Julkę wieczorami... Taką kobietę, która zajmuje się tym, czym zwykle zajmują się mamy i babcie.

Nagle zrobiło mi się okropnie żal Julki. Wolałam mieć mamę, która upija papugi orzechówka, niż mamę bizneswoman, która nawet nie wie, do której klasy chodzę. Nawet gdyby mogła wysłać mnie na wakacje do Meksyku.

- Idziemy spać? - zapytała wracająca z łazienki Zuzia, wyrywając mnie z zamyślenia. - Żaba, idziesz myć zęby?

- Idę - wstałam z materaca i ruszyłam do łazienki. I nagle poczułam, że jednak coś w tej historii o Julce i jej bogatych rodzicach okropnie się nie zgadza. Bo przecież ona mówiła

wyraźnie, w nocy po rozpoczęciu roku, u Zuzi, że nieraz już myła zęby pastą nałożoną na palec, bez szczoteczki. Że nie miała wyjścia. Czy naprawdę córka miliarderów może mieć takie problemy?! Koniecznie musiałam się tego dowiedzieć.

Ale, niestety, nie tej nocy... Bo gdy wróciłam z łazienki, na moim posłaniu leżały zgodnie Etna i Lawa, przytulone do pieska Feliksa, a Zuzia, Julka i Emma pochrapywały miarowo na wielkim materacu. Przecież nie będę ich budzić z powodu szczoteczki do zębów?! Zresztą niedługo zacznie świtać. Ja też powinnam chyba zasnąć... Jeśli tylko uda mi się wcisnąć między psa, kota i pluszaka z różowym nosem...

Ketashi

Możesz zrobić to, co Bractwo Zeta... tylko jeszcze lepiej!

JESIENNE OGNISKO (strażak radzi, Żaba notuje)

1. Znajdź odpowiednie miejsce. Nie może być w pobliżu żadnych materiałów łatwopalnych (suchych desek, kanistra z benzyną itp.), drzew ani zabudowań. Najlepiej rozpalać ognisko na ziemi lub piasku, żeby płomień nie przeskoczył dalej, np. po suchej trawie. Jeśli chcesz często palić ognisko, przygotuj stałe palenisko, otaczając krąg kamieniami albo cegłami.

2. Drewno musi być suche! Mokre jest do niczego, nie próbuj go dorzucać nawet wtedy, gdy ognisko już płonie. Mokre gałęzie nie chcą się palić, robią natomiast mnóstwo dymu i strzelają iskrami. A nawet najmniejsza iskra może wypalić dziurę w kurtce albo oparzyć cię w czoło.

3. Ułóż stos drewna w stożek przypominający kopczyk kreta. Zacznij od zgniecionego w kulkę kawałka papieru i bardzo drobnych gałązek (im cieńsze, tym lepsze!). Wokół nich układaj coraz grubsze i większe kawałki drewna.

4. Do rozpalenia ogniska możesz użyć podpałki do grilla. Jeśli jej nie masz, po prostu podpal gazetę w środku kopczyka. Podłóż ogień z takiej strony, by wiatr nagarnia! płomienie do środka stosu drewna, nie na zewnątrz.

5. Gdy buchną płomienie, możesz już piec kiełbasę, chleb i jabłka. Nie wpychaj patyka w środek ognia! Trzymaj go wyżej, aby płomienie tylko lizały kiełbaskę albo jabłko i upiekły je równomiernie - zarówno w środku, jak i na zewnątrz. W przeciwnym razie skórka będzie spalona, a środek surowy.

6. Nie wpychaj w ogień ziemniaków. Spalą się, zamiast upiec! Przy ognisku ziemniaki je się na deser. Piecze się je w popiele, gdy ognisko już dogasa. Włóż je w sam środek paleniska (nie używaj palców, lecz patyka!) i poczekaj przynajmniej pół godziny. A potem wygarnij je patykiem z popiołu, obierz i zjedz. Oczywiście, troszkę parząc się w ręce i usta i brudząc sadzą. O to przecież chodzi przy ognisku!

PS Zawsze miej pod ręką zapas wody. Wiadro, wąż podłączony do ogrodowego kranu albo chociaż konewkę czy duży garnek. Przyda się, jeśli iskry zaczną skakać na trawę, liście lub kurtkę. Możesz też umyć w niej ręce umazane ketchupem. Przede wszystkim jednak użyj jej do zgaszenia ogniska po imprezie. Pamiętaj, że mnóstwo pożarów zaczyna się wtedy, kiedy ludzie idą już spać, a wiatr roznieca niedogaszone płomienie!